Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 22. Sierpnia 1880 r. **Tom XI.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 34.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Kochanie.

Po wyjeździe Łobody ciężkie dla kraju nastały czasy. Nie było człowieka.

— Człowieka!... — wołał naród, oglądając się po świecie i śród siebie.

Byłoż go zkąd wziąć?

Wypadki tworzą ludzi, sprowadzając potrzebę takowych. Potrzeba nadeszła wielka i nagła; nadeszła jednak, niestety! bez odpowiedniego przysposobienia gruntu. Zadanie do rozwiązania było zupełnie nie to, które rozwiązywano. Samo krzątanie się około wynalezienia człowieka znamionowało chorobliwy stan ogółu, który nie człowieka a zdrowie szukać był powinien. Ogół czuł to instynktowo niejako; błądził jednak pod tym względem, że starania około zdrowia swego powierzał lekarzom, co go coraz to głębiej i głębiej w chorobę wtrącali. Nie mogło być inaczej. Co się też ludzi, ludzi wielkich tyczy, o brak których pomawiają Polskę filozofowie i niefilozofowie, to pod względem tym rzecz tak się miała. Ludzie, co w Polsce wielkimi być nie mogli, zostaliby takowymi w państwie każdem innem. Wyobraźcie sobie, na przykład, Jana Sobieskiego, jako sułtana tureckiego, albo jako cesarza niemieckiego, albo też na miejscu Ludwika XIV: co by to był za olbrzym! Każdy z naszych mężów stanu byłby na swojem miejscu, ale nie w Polsce. Ztąd ten wypływa wniosek, że w Polsce błędną była uprawa gruntu, który produkował mężów stanu. Nie tego używano pognoju, jakiego używać należało.

Wykazaliśmy skutki onego na województwie ruskiej, która świeciła jako wzór.

Nieszczęścia krajowe obchodziły ją i dotykały — obchodziły i dotykały, jak obchodzi i dotyka widza tkliwego spektakl wysoką nacechowany tragicznością. Ona sama górowała duchem nad tem, co się działo na ziemskim padole i robiła swoje.

Gdy wojska tureckie napłynęły i pod stolicę Rusi Czerwonej podstąpiły, usunęła się ze Lwowa do Krakowa najprzód, ztamtąd do Warszawy, następnie do Świecia w Prusiech. W pielgrzymce tej towarzyszył jej dwór w części swojej wyborowej. Do wybranych należała i Krzysia nasza, która w szeregach wojskowych miała: ojca, brata i... i — wymówić nareszcie wyraz ten należy — kochanka.

Krzysia kochała imćpana Łobodę. Kochała go i, co więcej, przyznawała się do tego przed sobą samą. W modłach swoich o najdroższych stawiała go na miejscu trzeciem, po ojcu i bracie; ale co się myślenia tyczy, częściej myślała o nim, aniżeli o nich. Powiedzieć można, że myślała o nim tylko, nie ubliżając, ani uchybiając przez to ojcu i bratu. Powód tego tkwił w tem, że od tych ostatnich ustawicznie przychodziły wieści, o nim zaś głuche panowało milczenie. Nazwisko Łobody znajdowało się pod interdyktem na dworze wojewodziny, jako nazwisko tego, który dopuścił się występku, nie mogącego być naprawionym. Nie wymawiano przeto nazwiska jego, ale definiowano czyn, malując takowy barwami najczarniejszemi, z aluzjami odpowiedniemi; i Krzysia bardzo dobrze wiedziała, o kogo to chodzi. A nie tylko Krzysia wiedziała o tem, ale i towarzyszki jej. Te ostatnie litowały się nad pięknym kawalerem, który oddał się na służbę... antychrystowi. Tem bardziej też obchodził on bohaterkę naszę, tem goręcej go kochała, tem mocniej nad brakiem wiadomości o nim bolała, tem uparciej o nim myślała.

— Co się z nim dzieje?...

Takim był punkt wychodni rojeń o nim.

Nie wątpiła ani na chwilę, że kochanek jej walecznie sobie poczyna. Córka żołnierza, któryby zasłynął jak Bayard, gdyby nie na polskim występował teatrze; siostra żołnierzy, którymi się chlubiły szeregi husarzy: dla niej ideał mężczyzny tkwił w człowieku rycerskim. Rycerz jej powinien był walecznym być. Ani przypuszczała przeto, ażeby serce jej pomylić się miało, i w rojeniach swoich o kochanku przystrajała Łobodę w blaski chwały rycerskiej. Pojąć jednak nie mogła milczenia, jakie około jego panowało nazwiska. O wszystkich, co się odznaczali, mówiono. O uszy jej obijało się ustawicznie nazwisk mnóstwo. O nim — żeby też wspomniał kto!

To dziewczynę biedną w niepokój wielki wprawiało.

Mówiono o tych, co się odznaczali w dwóch kierunkach przeciwnych: w kierunku naprzód i w kierunku wtył. Zdarzało się — cóż się nie zdarza na świecie! — że ten i ów z młodzi szlacheckiej, w skutek zapewne drażliwości nerwów, drapnął z bitwy pola. Takiego sławy głosić nie omieszkiwano. Na jej atoli pociechę, nazwisko Łobody nie figurowało w liczbie bohaterów tego rodzaju. Nie wyfigurowywało jednak wcale. Tonęło w milczeniu.

Aż obiło się jej o uszy. Stało się to w sposób następujący.

Po zawarciu traktatu buczackiego na-

stał moment pokoju pozornego. Wojska tureckie odstąpiły ode Lwowa. Wojewodzina powróciła do stolicy Rusi Czerwonej i rozgościwszy się nieco w pałacu, wezwała marszałka dworu i zażądała od niego zdania sprawy z wypadków w czasie nieobecności jej zaszłych. Rozmowie tej obecnych było osób kilka, między innemi i Krzysia. Marszałek, opowiadając o różnych różnościach, wytoczył z kolei rzecz o rannych, we względzie których wojewodzina specjalne mu, wyjeżdżając, zostawiła była rozporządzenie.

— Było rannych trzynastu... — powiadał. Stosownie do rozkazów jaśnie wielmożnej pani, lokowałem ich w pokojach gościnnych...

Tu wymienił wszystkich po imieniu i nazwisku, powiadając zarazem, który umarł, który się wyleczył. Pokazało się, że do zdrowia powrócili wszyscy, z wyjątkiem trzech.

— Opatrzono ich sakramentami?...— zapytała wojewodzina.

— A jakże!... jaśnie wielmożna pani...

Zanotowała sobie imiona i nazwiska ich.

— Spodziewam się — rzekła — że nikomu z biednych rannych nie odmówionym został przytułek w pałacu?...

— Nikomu, jaśnie wielmożna pani, z tych co się zgłaszali, z wyjątkiem jednego...

— A?... — zapytała wojewodzina.

— Imć pana Łobody...

Szczęście wielkie dla Krzysi, że nikt się na nią nie patrzył w tej chwili. Zbladła jak chusta, słabo się jej zrobiło i byłaby zemdlała, gdyby nie to, że marszałek mówił dalej:

— Przyniesiono go... jakoś mnie w chwili tej nie było... i złożono... Gdym go jednak za powrotem moim poznał, natychmiast kazałem do Bernardynów odnieść...

Wojewodzina nie rzekła ani słowa. Marszałek dodał:

— Ksiądz Jacek u Bernardynów, to wuj jego rodzony...

Krzysia połykała wyraz każdy. Marszałek mówić począł o czem innem, to już jej jednak nie obchodziło. Bernardyni, ksiądz Jacek, zajęli umysł jej cały. Spać poszła z Bernardynami w myśli. Nazajutrz zaś, jak tylko chwila stosowna nadeszła, wzięła ze sobą Franusię, pannę służącą swoję, i do klasztoru Bernardynów się udała.

W refektarzu zażądała widzenia się z księdzem Jackiem.

Poczekała chwilkę, aż wyszedł zakonnik, który ją powitał zapytaniem:

— Co rozkażesz aśćka?...

— Ksiądz Jacek?...

— Do usług...

Spojrzała mu w oczy. W oczach księdza świecił wyraz dobroduszności, który też całą jego, bynajmniej o anachoretyzmie nie świadczącą, oblewał postać. Na obliczu jego, gładkiem a otwartem, kwitło, przy wieku niepóźnym, zdrowie czerstwe. W oczach świeciło zadowolenie. Bił z nich wyraz powiadający, że ksiądz Jacek uwzględnia słabości ludzkie i nie nader głęboko siedzi w teologji. Wyraz ten natchnął Krzysię ufnością; zaczęła rezolutnie:

— Przyszłam do księdza dobrodzieja, w celu dowiedzenia się od niego o stanie zdrowia jednego z rannych naszych?...

— Którego?... — zapytał.

— Imć pana Łobody... — odpowiedziała prędko i cicho, czując, jak jej policzki gorąco oblewa.

Ksiądz popatrzył na nią uważnie i znów zapytał:

— A i na co to aśćce?...

Nieprzygotowana na zapytanie podobne, zmięszała się wielce. Nie umiała odpowiedzi znaleźć. Z płaczem w głosie, wznosząc na zakonnika oczy wyrazu prośby rzewnej pełne, odrzekła:

— Pragnęłabym wiedzieć... czy żyje?...

— Żyje... żyje... — odpowiedział ksiądz pospiesznie tonem uspokajającym. Żyje... zdrów... Oberwał w pierwszej okazji... Oberwał niezgorzej, ale się wylizał... Żyje i zdrów... i cóż?...

Znów się znalazła w obec zapytania, z którem nie wiedziała co począć. Patrzyła już jednak na księdza inaczej niż poprzednio. W oczach jej jaśniało uradowanie, połączone z wdzięcznością za dobrą nowinę. Ksiądz zapytał, palec podnosząc:

— Czyś waszmościanka przypadkiem nie jejmość panna Krystyna Łączyńska, starościanka buska, przebywająca u jaśnie wielmożnej wojewodziny ruskiej?...

Krzysia się zapłoniła po same uszy i cicho »tak jest« — szepnęła.

— A no... to co innego... no... — i dodał: Zapewne wojewodzina przysyła waćpannę w celu naprawienia nieludzkiego pana marszałka dworu postępku?...

— Nie, księże dobrodzieju... — odparła cichym głosem Krzysia, która nie umiała skorzystać z nastręczającego się jej kłamstwa i zamaskować takowem celu istotnego wizyty swojej w klasztorze.

— Nie?... no... ksiądz na to. — Jam się tak domyślał, dla tego, że siostrzeniec mój Prokop, bredząc w gorączce, ustawicznie miał imię aśćki na języku... Wiem przytem, że był na dworze wojewody, ale miejsca nie zagrzał, z powodu jakiegoś tam żydziątka... czy co... Hm!... Już to, powiadam, wojewodzina tym sposobem z żydziętami do ładu nie trafi... Na mnie, jabym rzecz tę urządził inaczej...

— Gdzie się obecnie imć Łoboda znajduje? — przerwała Krzysia, ośmielona gadulstwem zakonnika.

— Jabym — ciągnął tenże, na pytanie nie zważając — tak tę rzecz urządził, że z czasem, pomaleńku, wszyscyby młodzi żydkowie chrześcianami zostali. Mówiłem o tem z Prokopem...

— Ale gdzież on?... — zagabnęła starościanka.

— Gdzie... w chorągwi... Gdzieżby miał indziej być!...

— I zdrów, ksiądz dobrodziej powiada?...

— Ale... jak ryba!... Oberwał porządnie i to w najpierwszej okazji!... Wylizał się jednak... Przyschło na nim...

Krzysia westchnęła owem ulgę sprawiającem westchnieniem i wstała.

— Co to... odchodzisz już aśćka?...

— Już, księże dobrodzieju...

— Nasuńże tam wojewodzinie, że i ja coś względem żydów myślę...

Rzecz prosta, Krzysia o księdzu Jacku wojewodzinie nie wspomniała. Powróciła z klasztoru uspokojona zupełnie i uspokojona tak co do życia i zdrowia kochanka, jako też co do wartości jego rycerskiej. Wyjaśniło się jej, dla czego o nim sława milczy. Podczas kiedy inni wojowali, on się leczyć musiał. Wypadki tego rodzaju śmiertelnikom się zdarzają i niejednego bohatera możliwego w szpitalu marynują. Niejeden, co mógłby być czemś, został niczem z powodu marnej rany, kontuzji lub czegoś podobnego. Uspokoiła się więc Krzysia zupełnie, a przytem doznała wielkiego zadowolenia wewnętrznego dzięki wygadaniu się księdza Jacka, co do bredzenia Prokopa w gorączce. Miał imię jej na języku ustawicznie.

— Ach!... — pomyślała z zatrwożeniem niejakiem — gdybym kiedy w gorączkę wpadła, tobym jego imię na języku miała...

Szczęściem zdrowie jej sprzyjało. Rozwijała się świetnie. Znajdowała się w dobie pełni dziewiczego rozkwitu i kwitła prawdziwie wdziękami, które na nią uwagę zwracały młodych i starych. Pobyt chwilowy wojewody, gdy ten po buczackim pokoju przez tygodni kilka w domu bawił, stał się dla niej okazją pokazania się potomkom rodzin znakomitszych, którzy wojewodę bądź otaczali, bądź odwiedzali. Piękność jej, w połączeniu z tem, że pozostawała pod okiem takiej jak wojewodzina niewiasty, czyniła ją, bez względu na szczupłość wiana, ponętną i do pewnego stopnia pożądaną. Gdyby wiano donośne posiadała, miałaby adoratów tłumy. W czasach owych, we względzie związków matrymonialnych, oglądano się na mamonę straszliwie. Cnoty i wdzięki wlokły się z tyłu; poważano je w niewiastach wielce, lecz nie brano ich w rachunek. Bez mamony, wojewodzina sama nie jaśniałaby tak cnotami. Że przeto Krzysia liczyć nie mogła na posag wielki, przeto w adorujących ją z daleka tłumach znajdowało się niewiele takich, którychby starosta na zięciów sobie życzył.

Znajdowali się jednak.

Starosta w przestanku pomiędzy wojną jedną a wojną drugą, zjechał do Lwowa, złożył attencje swoje wojewodzie i wojewodzinie, tej ostatniej dziękował i nadziękować się nie mógł i, poprosiwszy ją na chwilkę rozmowy, tak zaczął:

— Mościwej pani a pani mojej nie będzie dziwiła troskliwość ojca o losy córki... Krzysia jest już w latach, w których się o pannach postanawia... Ja jej wiana donośnego dać nie mogę... Dostanie i wyprawę i pod poduszkę, ale nie wiele, to jest nie tyle, ażeby obstać mogła bez dołożenia połowy ze strony tego, co jej Pan Bóg przeznaczy... Chodzi mi więc o to, ażeby jej nie wydawać za, za pozwoleniem mościwej pani a dobrodziejki szczególnej mojej, hołysza... Trafia się kasztelanic słoński... prawda, kasztelanic drążkowy, ale młodzie-

niec nieubogi i szlachetny... Nie chcę ja dla Krzysi bogactw; pragnę jednak i o to Pana Boga proszę, ażebym oczy zamykając, był spokojny o nią...

— Słusznie, mości starosto, bardzo słusznie... — wtrąciła wojewodzina.

— Owóż, moja mościwa pani a dobrodziejko, poddaję rzecz tę pod asani dobrodziejki sąd światły...

— Co do mnie — odparła zagabnięta wręcz — »cobym ja za to nie dała była, żebym była w panieńskim stanie do śmierci Bogu mojemu służyć mogła«... Ijście za mąż odradzam pannie każdej i tego jestem zdania, iż klasztorny los pewny, podczas gdy w małżeńskim stanie omylić się można, wybierając jak najstaranniej...

— O tak... — odrzekł starosta.

— Waszmość przytem, mości starosto, upałom Marsa życie poświęciwszy, potrzebujesz niezawodnie dać Panu okup... Bogu miłą jest ofiara z gołębi pary... o ile milszą... z córki jedynej!

— Niezawodnie... Nie wiem tylko... co się Krzysi powołania tyczy?..

— Tak... Powołanie następstwem jest łaski bożej, o zesłanie której Pana błagać należy...

— Więc ja nie wiem... — wtrącił starzec. — Co się bowiem kasztelanica tyczy...

— Przeciwko kasztelanicowi nie mam nic... Młodzieniec słuszny... Mam przeciwko małżeństwu w ogóle, z którym się kwapić nie radzę... Wszak waszmość, mości starosto, nie spodziewam się, ażebyś wzorem ludzi zepsutych, których niestety! w czasach naszych mnóstwo takie! i z powodu których sprawiedliwość boska tak srodze nas dotyka, przeciwko klasztorowi miał co?...

— A niech mnie Pan Bóg wszechmocny broni!... — zawołał starosta protestacji tonem.

— Ja więc, jeżeli waszmość pozwolisz, wezwawszy pomocy Ducha świętego, przysposobię Krzysię...

— Moja mościwa pani i dobrodziejko!... — odrzekł starzec. — Dla Krzysi taka pozostaje alternata: albo taki jak kasztelaniec słoński małżonek, albo klasztor...

— Dobrze więc... — była wojewodziny odpowiedź.

W skutek rozmowy tej, dla Krzysi nastały dnie iście krzyżowe. Wojewodzina wyznaczać jej poczęła modlitwy i praktyki; modliła się z nią wspólnie; trzymała ją przy sobie często i długo; gdy zaś nastał post wielki w r. p. 1673, o mało jej nie zamęczyła na rekolekcjach. Dziewczyna schudła i przybladła od umartwień. Na Wielkanoc wojewodzina wezwała ją do siebie na rozmowę poufną.

— Miałam — zaczęła — z ojcem twoim konferencją, tyczącą się postanowienia twego... Ojciec w swojej o ciebie troskliwości upatrzył, moje dziecko, małżonka dla ciebie, dając mi prawo odmawiania cię od stanu małżeńskiego, od stanu, który przedewszystkiem wymaga oddania mu na ofiarę skarbu panieństwa... A skarb to wielki!.. — Mówiąc to, wzniosła piękne oczy swoje do góry — skarb ceny niemający!... Moje dziecko, »cobym ja za to nie dała była, żebym była w panieńskim stanie do śmierci Bogu mojemu służyć mogła»... Alem nie mogła... Dzieckiem prawie byłam, kiedy mnie świętej pamięci rodzice moi wojewodzie dali... Nie posiadałam woli własnej; nie znajdowałam się, niestety! w położeniu twojem... Tobie ojciec pozostawia alternatywę: chcesz za mąż... idź; nie chcesz... masz klasztor... Na miejscu twojem, nie namyślałabym się ani chwili...

— Pani!... — odezwała się Krzysia błagalnym głosem.

— Co?...

Dziewczyna patrzała na nią z wyrazem prośby w oczach.

— Chcesz się namyślić?... Namyślaj się... Iść możesz albo za mąż, albo do klasztoru... Od twojej to zależy woli; nie rozumiem jednak, jakby wola twoja odprowadzać cię miała od stanu, otoczonego woniami świętości... Módlże się i namyślaj!...

Kogoby jej ojciec na małżonka przeznaczał, nie wiedziała i nie obchodziło jej to wcale. Starosta nie znał imć Prokopa Łobody. Wiedziała przeto, że to nie on. Przytem w wieku owym zmieniły się już były obyczaje wieków dawniejszych, w których niewiasta poczytywaną była za istotę swobodną. W epoce Piastów i Jagiellonów, kobieta w Polsce obywatelką była. Despotyzm ojca i męża zaciężył nad nią później, dopiero pod koniec XVII wieku, gdy dojrzały w całej jałowości ducha sprowadzającej okropności swojej owoce edukacji jezuickiej. Dla tego to despotyzmu Krzysia, gdyby ją to i obchodziło, kto jej mężem będzie, aniby się odważyła ojca o to zapytać.

Nie wiedziała więc. Wiedziała tylko, że nie będzie żoną Łobody — Łobody, o którym znów słuch zaginął.

Z ran się wylizał i gdzieś się zaprzepaścił. Do dania o nim wieści był wprawdzie ksiądz Jacek, ten atoli, nie to, ażeby ufności w dziewczynie wzbudzać nie miał, nie pociągał jej jednak. Zresztą przystęp do niego otoczon był przeszkodami. Należało go szukać w klasztorze: do furty dzwonić, ojcom się opowiadać, w refektarzu czekać, na widoku ludziom wchodzić i wychodzić. Okrom tego księżyna poczciwy wydawał się ciekawym. Pamiętała, jak zapytał: »A i na co to aśćce?» A nużby zapytanie wyraźniej postawił! Upiekło się jej raz, że się zdołała bez skłamania wywinąć. Kto wie, czyby się to samo udało raz drugi.

W kraju tymczasem zawichrzyło się straszliwie. Sejm nie ratyfikował pokoju buczackiego i wojna powtórna stała się nieuchronną. Wojna zajęła umysły; nie mówiono o czem innem. Ucichły za pomocą sejmu *pacificationis* jako tako załatwione spory wewnętrzne, z racji których własne w własnym kraju plądrowały wojska i obok wojny domowej jednej, o mało nie przyszło do drugiej. Spory poszły na delatę, a uwaga cała zwróciła się na wojnę z Turcją — na wojnę rzetelną, nie obronną już a zaczepną. Hetman w osobie Jana Sobieskiego był waleczny, rezolutny, rzutki, młody, ufający w gwiazdę swoję i mający do pomszczenia na wyznawcach Proroka dziada, wuja i brata. Jan Sobieski, jako wojownik, łącząc w sobie przezorność Jana Zamojskiego z ogniem Stefana Czarnieckiego, był niezawodnie najlepszym w Europie w epoce owej jenerałem. Umiał w potrzebie być partyzantem, czego dowiódł w rozprawie z ordami Nurradyna, Dżambetgireja i Adżigireja, przebiegłszy w dniach kilku przestrzeń kraju ogromną i pobiwszy w 3000 koni 80,000 Tatarów; umiał kierować wielką wojną. Zogniskował on uwagę na sobie. Pod auspicjami jego, bez porównania bardziej aniżeli pod kierownictwem króla, odbywał się ruch przygotowań wojennych: ściągały wojska, okrywały się chorągwie, czyniono zaciągi; obok tego zbierało się pospolite ruszenie, któremu król Michał przewodniczyć miał.

Śród wrzawy tej, w ruchu tym nawskróś patrjotycznym, który przodkowie nasi rozwijać niekiedy umieli w chwilach niebezpieczeństw wielkich, sprawa matrymonjalna starościanki przycichnąć musiała. Wojewodzina ferwor pobożności swojej zwróciła w kierunku ruchu. Pomiędzy tymi, co na boje spieszyli, miała męża i krewnych. Wojewoda ruski nie ociągał się w razach podobnych, owszem, występował pomiędzy najpierwszymi — pracował na buławę i zasłużył na takową (Jabłonowski buławę mniejszą otrzymał 1676, wielką 1682). Wojewodzina, zapatrzona w tę stronę, nie zapominała o modłach, zapomniała jednak o starościance buskiej i o przedmiocie, dla którego dała jej do namysłu czas. Czas ów przeto dłużył się, przeciągał; dwór czynił przygotowania do wyjazdu w razie potrzeby; pode Lwowem zbierało się pospolite ruszenie; do Lwowa przybył król. Wobec króla wojewodzina występowała w charakterze gospodyni domu. Najjaśniejszy pan odwidził ją po przyjeździe swoim natychmiast. Ona wnet wizytę najjaśniejszemu panu oddała. Król u niej był z dworem. Wojewodzina z swojej strony do króla z dworem się udała i przedstawiała mu towarzyszące jej damy, pomiędzy któremi znajdowała się i bohaterka nasza. Michał Korybut zauważył ją.

— Starościanka buska...— rzekł głosem słabym. — A... starościanka buska... Śliczne dziecko... starościanka buska... Józef Łączyński... jenerał... bardzo dobrze... Ano... będziemy pamiętali...

Na Krzysię przykre król ten, który był człowiekiem gasnącym, sprawił wrażenie. Widok jego przejął ją politowaniem głębokiem. Wydawało się jej, że litość, którą ona czuła, powinienby podzielić naród cały i bronić tego, którego z nadętością nacechowanym przyciskiem »panem» swoim mianuje. Myśląc o królu, myślała też o Łobodzie, a to w sensie następującym:

— Gdybym się z imć Łobodą spotkała, tożbym go prosiła, żeby bronił tego pana biednego!...

Łoboda przeto, pomimo dystrakcji, jaką sprawiało jej to, co się przed oczami jej przesuwało, i to, co się o jej uszy obijało, nie wychodził jej ani z pamięci, ani z serca.

*

Kochała!

Gdzie się jednak znajdował? Co się z nim działo? Zapytanie to było dla niej tajemnicą, której zasłonę podnosiła wyobraźnia i ukazywała jej młodego szlachcica w blaskach sławy rycerskiej. Roiła. Snuła w nieskończoność obrazy prześliczne.

Nagle w osnowę tę wpadły dwie jedna po drugiej przeszkody i w miejscu ją zatrzymały.

Odezwały się we Lwowie dzwony i zwiastowały śmierć króla.

Odezwały się we Lwowie dzwony i zwiastowały zwycięztwo pod Chocimem.

Pomiędzy wypadkiem jednym a drugim upłynęło dni cztery.

Krzysia płakała, raz z żalu — wydało się jej, że ze śmiercią tego człowieka biednego przepadło wszystko; drugi raz z radości, pewną będąc, że przeminęło nareszcie wszystko złe, o którem narzekania od dzieciństwa o uszy się jej obijały. We wzruszeniu tem o Łobodzie zapomniała.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PAMIĘTNIKI POWSTAŃCA

z 1863 i 1864 r.

Przejrzał i przypisami uzupełnił

ZYGMUNT LUCJAN SULIMA.

KSIĘGA DRUGA.

CHMIELIŃSKI.

(Ciąg dalszy.)

V.

Treść: Obóz w Kunowie i Jeleniowie — bitwa pod Ociesękami — nasze straty — marsze — nowa utarczka pod Strojnowem — mój urlop — starcie pod Bodzechowem — osłabienie powstania — śmierć Chmielińskiego w Radomiu.

W Kunowie założyliśmy obóz. Po obrachunku okazało się, że w rozprawie strojnowskiej straciliśmy 20 ludzi w zabitych i rannych. Staliśmy tu dwa dni, a Chmieliński dowiedział się, że jego piechota, wraz z rozbitkami Bosaka z pod Jeziorka stoi pod Ociesęka mi w lasach Św. Krzyzkich i liczy ogółem 400 ludzi. Tutaj przybył do nas Rudowski z maleńkim swoim oddziałem, lecz został napowrót wyprawiony w Suchedniowskie lasy, z poleceniem szerzenia powstania w gubernii Radomskiej, gdzie wszystkie oddziały były już rozbite i panowało ogólne zniechęcenie.

Wysłany z Kunowa podjazd dla zebrania wiadomości, wpadł wypadkiem na trzech żandarmów i sześciu kozaków jadących z Opatowa. Podjazd nasz liczył 20 ludzi i po krótkiej utarczce wszystkich zabrał do niewoli i zwielkim tryumfem przyprowadził do obozu. Pierwszy to raz zdarzyło nam się dostać niewolnika i gdy obmyślano co z nimi uczynić, dano znać, że Moskwa zbliża się ku nam. Wyruszyliśmy przeto do Piórkowa, a ztąd do Jeleniowa. Tutaj byliśmy świadkami wesela jednej z córek dziedziczki tego majątku, wychodzącej za kapitana naszej piechoty, jakiegoś Węgra, który jak się później okazało, był już żonatym i w Krakowie, dokąd pojechał leczyć się z rany, zjechała go pielęgnować pierwsza jego żona. Ślub był wesoły i niewesoły, gdyż zaledwie zaczęliśmy się trącać kieliszkami, pijąc za pomyślność państwa młodych, dano znać że Moskwa tuż. Wyruszyliśmy więc do Ociesęk chcąc się połączyć z piechotą, dokąd przybyliśmy nad wieczorem. Noc przepędziliśmy spokojnie, aliści nad ranem wpada pikieta, z wiadomością, że Moskwa o parę wiorst i zmierza wprost do lasu, w którym rozłożyliśmy się obozem.

Chmieliński z Bosakiem z uwagi na znakomitą pozycją i zupełną nieświadomość nieprzyjaciela o naszych siłach, postanowili nie ustępować ale zajść mu drogę. W tym więc celu ustawiono piechotę na skraju lasu, z rozkazem przypuszczenia nieprzyjaciela na jak najbliższą odległość — kawalerją wysłano na czyste pole, a mnie z plutonem, którym od bitwy pod Strojnowem dowodziłem jako oficer, kazano stać w pewnem miejscu pod lasem i oczekiwać dalszych rozkazów, nie ruszając się ztąd pod żadnym pozorem, choćby nas miano wystrzelać co do nogi. Tak mi zapowiedział Chmieliński osobiście. Nie pojmując celu i nie przesądzając ważności onego, stanąłem na wskazanem miejscu. W dziesięć minut może potem usłyszałem rotowy ogień. Domyślałem się, że nasza piechota przywitała nieprzyjaciela. Tak w istocie było — przypuściwszy moskiewską piechotę i artylerję postępującą prawie razem na 200 kroków, dano ognia. Z początku zmięszali się, ale wnet opamiętawszy się, ruszyli naprzód. Piechota nasza zasłonięta drzewami, pomimo zliżenia się wroga, nie ustępowała na krok, sypiąc rzęsisty ogień. Nie długo rozpoczęła się walka na bagnety — walka ta trwała ze dwie godziny, przerywana od czasu do czasu wystrzałami artylerji, znajdującej się także w lesie — i już Moskwa zaczęła się mięszać, artylerja zmykać, gdy ogólnie dowodzący piechotą kapitan Tylman ginie. Chmieliński widzi to, zsiada z konia, porywa jego bagnet i chce prowadzić do nowego ataku wachającego się żołnierza. Ale Moskale, liczący około 1000 ludzi opamiętali się, poprawili i uderzyli na naszych, którzy poczęli się chwiać, ustępować i niedługo zobaczyłem piechotę naszą wychylającą się z lasu w stronę mej placówki — spostrzegam i samego Chmielińskiego pieszo zdążającego w tymże samym kierunku. Moskwa postępowała krok w krok za naszymi a zobaczywszy moją kawalerją, cały swój ogień skierowała na nas. To ocaliło Chmielińskiego a mój pluton zniszczyło prawie zupełnie. Nie usłyszawszy żadnego rozkazu, od przechodzącego obok mnie Chmielińskiego, nie odważyłem się ruszyć z miejsca, a wychylająca się z lasu piechota moskiewska nie dalej jak na 150 kroków brała nas na cel jak kaczki. Co chwila ktoś z mych kawalerzystów jęknął i potoczył się z konia — koń mój był ranny dwa razy, kula przeszyła mi sukmanę przez całe plecy — pół cala dalej a prześwidrowałaby mnie na wylot, dwie uderzyło w żelazną pochwę szabli i pogięło ją tak, żem potem nie mógł klingi wsadzić. Widząc że takie stanie na miejscu i oczekiwanie rozkazów byłoby szaleństwem, gdyż Moskwa nas prawie okrążała, ruszyłem za innymi. Z całego plutonu liczącego 30 ludzi, zostało mi sześciu zdrowych, a gdyby lepiej strzelali, powinniby z takiej odległości wybić nas trzy razy, dziesięć razy tyle. Przyznać tu muszę, że ludzie stojący ze mną na owem stanowisku, byli prawdziwie odważni, żaden z nich nie cofnął się, nawet nie odwrócił się w przeciwną stronę. Później dopiero dowiedziałem się, że Chmieliński stawiając mnie tu, był tak zaufany w rozbicie Moskwy, że mogąca uciekać tędy artylerja, powinna była natkąć się na nas i być zabraną. Dałem znak do odwrotu i cwałem puściłem się za całym oddziałem, zdążającym do Strojnowa. Dopadłszy Chmielińskiego podałem mu konia po jednym z zabitych żołnierzy, był tak zmęczony, że ledwie wlókł się, Moskwa postępowała za nim ciągle i nie dalej jak o 400 do 500 kroków rażąc nas piekielnie — nasza piechota odpowiadała coraz rzadziej, uciekając biedaki nie mieli czasu do nabijania. Bosak zaś na czele kawalerji postępował znaczuie na przodzie, ogień go nie sięgał i choć wypuszczono za nim parę granatów, te nie zrobiły mu żadnej szkody. Weszliśmy do lasu i niedługo zupełnie w nim ukryliśmy się, a wkrótce też i ogień moskiewski ustał. Poprzestali pogoni, bojąc się nowej zasadzki.

Bitwa pod Ociesękami, była może najkrwawszą i najupartszą w całem powstaniu. Moskale przyznawali się w swych urzędowych raportach do 100 zabitych i rannych, i mówili, że była już taka chwila, że Czengiery kazał się cofać a podkomendni oficerowie kazali bębnić na odwrót. Pierwszy to był wypadek, że kłuto się bagnetami, o każdy krok, o każdą piędź ziemi, bito się zawzięcie. Była to ostatnia bitwa Chmielińskiego z piechotą, która tu wyginęła po większej części lub dostała się do niewoli i zaledwie 100 ludzi zebrało się wszystkiego po przybyciu do Strojnowa. Garstka ta pod wodzą jakiegoś Bogdana, odesłaną została do Rudowskiego i o losie jej już więcej nie słyszałem.

Młody małżonek, za którego zdrowie i pomyślność na jego weselu piliśmy, został raniony w nogę i nie miał nawet przyjemności nacieszyć się miodowym miesiącem. W ogóle w rannych i zabitych mieliśmy 150 ludzi, a ze 100 dostało się do niewoli. Reszta się rozpierzchła.

Dotychczas rzadko kiedy odważała się Moskwa atakować nas w lasach, zwykle starała się nas przedewszystkiem wyparować na pole i tam dopiero rozbijać. Las więc uważaliśmy dotychczas za pewną i bezpieczną przystań. Ociesęki przekonały nas, że nie możemy tak bardzo ufać w nasze niefortyfikowane fortece, że i tam nas znajdą. To samo widać myślał i Chmieliński, bo nie starał się już o zorganizowanie nowej piechoty, nie marzył nawet o tem, nie śnił o zwycięztwie nauczony praktyką, dał zupełnie za wygranę i z garstką kawalerji przenosił się z miejsca na miejsce, oczekując ostatecznego rezultatu i jakiegoś z czasem rozwiązania, które przecież w końcu musiało nastąpić. Jako człowiek honoru, poprostu dla honoru, postanowił wytrwać do końca na raz obranem stanowisku, chociaż mógł bardzo łatwo pójść za przykładem Langiewicza, Taczanowskiego i tylu innych dowódzców, odpoczywających spokojnie na niezdobytych laurach, — i wytrwał.

Bosak z pod Strojnowa odjechał i już go więcej w szeregach nie widziałem. Po wielolicznych marszach i kontrmarszach w okolicach Św. Krzyża, Pińczowa i Włoszczowy, będąc już bezustannie ścigani przez dragonów, kozaków i ułanów, przybyliśmy w parę tygodni po osta-

tniej bitwie znowu pod Strojnów*). Tutaj mieliśmy nocleg i na drugi dzień rano, ja w towarzystwie jednego kolegi, udaliśmy się do pobliskiej wioski, z prośbą o przysłanie nam owsa. Jadąc zamyśleni aleją wysadzoną drzewami, dostaliśmy się do wsi — naraz przy karczmie widzimy trzy kozackie konie, a nie długo i wybiegających kozaków. Jeden z nich ujrzawszy nas wypalił z rusznicy. Naturalnie co koń wyskoczy zawróciliśmy napowrót do obozu, gdzie alarm ten już doszedł i nim zdołano pokulbaczyć konie, jednocześnie z nami dojeżdżali dragoni. Paniczny powstał przestrach. Pierwszy raz Chmielińskiemu nie udało się zebrać swej gromadki w jaki taki szyk i porządek — zaczęła się bezładna ucieczka w różne strony. Co do mnie, z kilkunastu towarzyszami, mając za sobą dragonów, wpadliśmy na jakąś wązką drożynę, gdzie zmykać można było tylko gęsiego. W tej pozycji dojeżdżający nas dragon, zrzucił z koni trzech ostatnich. W tym szalonym pędzie nie wiem ile ubiegliśmy, prawdopodobnie z półtorej mili. Pogoń nareszcie ustała. Odetchnęliśmy, zobaczyliśmy przed sobą miasteczko Łagów, w którem odpocząwszy chwilkę i nie wiedząc co się dzieje z Chmielińskim i resztą oddziału, oraz nie czując się dosyć bezpiecznymi, puściliśmy się dalej i po kilkogodzinnym marszu dowiedzieliśmy się pod wieczór, że Chmieliński stoi w Piórkowie, o małą milkę od nas. Wyruszyliśmy tam bezzwłocznie i zastaliśmy go na czele 100 ludzi — niedobitki ściągały się z różnych stron, ale w najopłakańszym stanie, konie zmarnowane, ludzie zniechęceni i w dodatku Moskwę postępującą naszemi śladami. Jak świt wyruszyliśmy manowcami, trzymajac się lasów, w stronę Włoszczowy, dokąd nie zaczepieni nigdzie, przybyliśmy trzeciego dnia. Zdawało nam się, że będziemy mogli odpocząć trochę, skompletować się, odżywić konie, ale w parę dni dano nam znać, że Moskwa ciągnie z trzech stron. Tak było już wszystko upadłe na duchu, nie wyłączając i Chmielińskiego, że nie myślano o zasadzkach, o przyjmowaniu bitwy, ale o tem jakby można dobrze się ukryć lub uciec. Było to już jakoś w końcu października, lawirowaliśmy to tu, to ówdzie, szczęśliwie się wymykając i powiększając oddział ściągającymi się niedobitkami. Tym spotobem doszliśmy znowu do 300 ludzi samej kawalerji i naciśnięci w okolicach Włoszczowy, przerzuciliśmy się na drugą stronę Kielc, w lasy Śto-Krzyzkie. W przechodzie przez Mierzwin, Chmieliński zabrał ze sobą jedynego syna dziedziczki tej wsi. Matka jakby przeczuwając, błagała Chmielińskiego, żeby jej syna nie zabierał; pozostał głuchy i chłopiec ten w parę dni później, w bitwie pod Bodzechowem zginął rzeczywiście.

W Mierzwinie zachorowałem; byłem tak osłabiony, żem na koniu nie mógł się utrzymać, ból krzyża i głowy miałem szalony. Zameldowałem o tem Chmielińskiemu, prosząc go aby mnie nie miał w podejrzeniu o udawanie, że przez ciąg dziesięciomiesięczny tułania się w powstaniu, pierwszy raz proszę o uwolnienie nie z braku chęci do dalszej służby, ale po prostu z fizycznej niemożebności, zapewniając go przytem, że po wyzdrowieniu mojem niezwłocznie się stawię do oddziału. Chmieliński, widząc mój stan, udzielił mi urlop na piśmie, opatrzony jego podpisem i pieczęcią — i na drugi dzień rano konno i w uzbrojeniu opuściłem obóz. Przepytując się o bezpieczniejsze miejsca, dobiłem się do pewnej wioski, gdzie uczułem, że mię siły zupełnie opuszczają. Ulokowałem się więc u miejscowego szlachcica, gdzie przeleżałem cały tydzień w strasznej gorączce i tylko starannemu pielęgnowaniu mnie przez poczciwe gospodarstwo, zawdzięczam dość szybkie wyzdrowienie.

Nie przypuszczałem nigdy, wyjeżdżając z obozu w Mierzwinie, że to było ostatnie moje widzenie się z Chmielińskim, pod którego rozkazami tyle czasu się przesłużyło, tyle kolei i wypadków się przeszło — nie przypuszczałem, powtarzam jeszcze raz, że go już więcej nie zobaczę. W parę godzin bowiem po moim wyjeździe, dano znać o nadciągającej Moskwie — wyruszył przeto niezwłocznie pod Śty-Krzyż, a ztąd w Opatowskie. Pomimo szalonych marszów, został dognany pod Bodzechowem i Moskwa tak natarczywie uderzyła, że nim Chmieliński zdążył uformować jaki taki porządek, już dragoni wrąbali się w środek oddziału — i zaczęła się ogólna, bezładna ucieczka. W czasie takowej Chmieliński dostał postrzał w rękę i w szalonym pędzie tak pierzchający jak i goniący wpadli na jakiś olbrzymi rów, którego wielu na gorszych koniach nie mogło przeskoczyć; wpadali przeto w niego, druzgocząc się z końmi. Chmieliński uległ temu samemu losowi; koń jego był dzielny, ale w przeskoku zwinął się i upadł razem z innymi. Zerwał się jednak i jeździec i koń. Chmieliński chciał siąść, ale rana w ręce nie dozwalała na szybkie dokonanie tego, i nadbiegający dragon ciął go szablą przez głowę i zamierzał swój raz poprawić, gdy Chmieliński zawołał: Nie rubi — ja Chmieliński! — i upadł zalany krwią.

Ze złapaniem Chmielińskiego Moskwa poprzestała pogoni. Była to dla niej ważniejsza zdobycz, jak rozbicie i wycięcie całego oddziału. W istocie z pochwyceniem jego, powstanie w Krakowskiem traciło najważniejszą i jedyną podporę; imię jego było jakby magnesem pociągającym, do którego się wszystko ściągało, rozbitki z różnych stron kraju i upadli na duchu. Tylokrotnie rozbijany, nigdy ostatecznie nie mógł być rozproszonym i zdawało się, że jakaś tajemnicza siła wzięła go w swoją opiekę i nie pozwalała na jego zgubę. Wiara w jego męztwo, energję i zdolność, była do ostatniej chwili wielka i ta to wiara w połączeniu z surową karnością, czyniła go silnym i dozwalała mu tak długo trzymać się. Moskwa z upadkiem jego mogła rzeczywiście cieszyć się ogólnem pokonaniem powstania, a rozproszenie i pochwycenie resztek tułających się tu i owdzie, było tylko kwestją czasu i zabawką myśliwską, w rodzaju polowania na grubego zwierza. Tak się zdawało nieprzyjacielowi, tak się i nam zdawało, aczkolwiek taki sam rezultat smutny byłby właściwie i przy Chmielińskim nas spotkał, czego wreszcie pod koniec jego rządów już doznawaliśmy. Powstanie w innych częściach kraju, silnie i energicznie naciskane, i nieposiadające tak dogodnych warunków jak w Krakowskiem, było zupełnie stłumione i gdzieniegdzie tylko, garstki tak nazwanej żandarmerji narodowej, która, mówiąc nawiasem, więcej przynosiła szkody jak pożytku, tułały się tępione bez miłosierdzia, a w końcu nawet łapane przez chłopstwo. Jedynie tylko w Lubelskiem i garstka naszych w Krakowskiem, pozostała wolna dotąd od zupełnego zniszczenia. Tutaj też zwrócone były wszelkie usiłowania i nacisk Moskwy. Garstka kawalerji, pod dowództwem Markowskiego i Bogusza, powstała z oddziału rozbitego pod Bodzechowem, ścigana była zawzięcie; dzięki tylko przychylności mieszkańców i dobremu usposobieniu włościan, zawdzięczały te oddziałki swoją chwilową egzystencję Było to konanie, tem opłakańsze, że tak długo się jeszcze ciągnęło.

Chmieliński wzięty do niewoli, na wpół umierający, odwieziony był do Radomia i tam z wyroku sądu wojennego rozstrzelany. Sit transit gloria mundi! Postępowaniem swojem, energją, szlachetnem poświęceniem się dla sprawy bez nadziei — i wytrwałością, zasłużył sobie na szacunek i zaszczytne wspomnienie w dziejach ostatniego powstania — i aczkolwiek działania jego, zawarte w granicach zbyt małych i nieznacznych, nie były tryumfami pełnymi chwały, to przecież idea przodująca jego czynom, powinna go postawić w rzędzie bohaterów narodowej sprawy, dla których każdy Polak powinien mieć cześć i obowiązek przekazania potomności ich czynów i postępowania.

Koniec księgi drugiej.

(Ciąg dalszy nasiąpi.)

*) Autorowi pamięć nie dopisała. Druga utarczka pod Strojnowem miała miejsce przed bitwą pod Ociesękami i nie Chmieliński tu dowodził, ale rotmistrz Rzepecki.

(Przyp. wydawcy).

JASKÓŁKA

NOWELLA

LEONA SAMSONOWA

(przekład z rosyjskiego).

(Ciąg dalszy.)

Upłynęło ze trzy tygodnie. Nic się nie stało nadzwyczajnego. Chyba to tylko, że idąc za radą doktora, zamiast buteleczki gutaperkowej do ssania, kupiłem jakąś szklanną, z bardzo misternym przyrządem. Wypadało pomyśleć o przyszłości dziewczynki. Wydobyłem tedy metrykę chrztu, a od policji dostałem następujący papier:

»*Świadectwo*. Wydaje się niniejszem od zarządu policji charkowskiej, za pieczęcią i podpisem rządowym, byłemu nauczycielowi 2-go charkowskiego gimnazjum, Leonowi synowi Mikołaja Samsonowowi, na własne jego żądanie, wniesione do zarządu pod dniem 13. bieżącego lutego v. s. w sobotę; że jak świadczy protokuł przy raporcie z d. 12. bieżącego lutego v. s. i roku, za nr. 1024 przez prystawa ósmej dzielnicy m. Charkowa nadesłany, utrzymujący zajazd Kazański, włościanin państwowy rodem z Zarajskiego powiatu, wsi Wierchnij Biełoustup, Iwan Pieregudow, dał znać do zastępcy prystawa dnia 22. p. miesiąca stycznia v. s., iż dnia tegoż we wtorek o godzinie 11-tej przed północą, podrzuconem zostało na schodach wspomnianego hotelu przez ludzi niewiadomych niemowle płci żeńskiej, najwięcej dni cztery życia mające, przy którem znaleziono kartkę z napisem: »dziecię nie przeżegnane i nie

chrzczone«, i że dziecię to wzmiankowany pan Samsonow, obecnie aktor, bierze do siebie na wychowanie. 16 lutego v. s. 1874 roku, m. Charków. Zastępca policmajstra *Denczenko*, sekretarz *Chadukin*.«

Przyniosłem metrykę i ten papier do domu, jedno i drugie położyłem obok Niunieczki i mówię:

— Ot tobie i podorożna na całe życie *).

Leneczka szyła powijaki; spojrzała tylko z pod oka i nic nie powiedziała. Do obiadu było jeszcze z półgodziny. Począłem chodzić po pokoju. Że trzy razy zaglądnąłem do legowiska dziewczynki. Niczego. Nie krzyczy, tylko oczęta wytrzeszcza...

— Leonku.

— A co tam?

— Wiozę dziś Niunieczkę do ciotki; daj pieniędzy.

— Do...brze. Ale jakże jej tam będzie?

— Postaram się o mamkę. U nas tam, w Wołdach, bardzo tanio mamki. Czernyszewowie mamce swojej płacili 60 rubli rocznie, a na gorsety i bieliznę, wydali najwięcej 30. No, a tam ciotce wypadnie dać za fatygę, jakie 5 rubli, ot i wszystko. Ciotka uboga, nie można nie dać.

— Naturalnie..., ale dzieciątko tak słabowite, a tu takie mrozy. A ty zresztą? Beze mnie ani rusz, a przecież podróż ta tam i nazad, najmniej całą dobę zajmie.

— Wytrzymam, nie bój się, nic mi się złego nie stanie. A na wszelki wypadek wezmę z sobą receptę; pokażę lekarzowi temu co to pamiętasz, którego już raz używałam, gdyśmy to jeździli po papiery moje, i będzie dobrze.

— No, no, dam... Ale jakie ty zapałki kupujesz; już piątą zapalam i gaśnie.

— Daj-no, ja zapalę.

Od razu zapaliła. U kogoś brała ten tytoń? — Nie wiem zkąd; numerowy przyniósł.

— Hm... A pamiętaj wziąć kołdrę ciepłą; trzeba ją dobrze zawinąć, a nie zapomnij też o berlaczach futrzanych dla siebie. Toż to najmniej wiorst 7 wypadnie ci jechać saniami z dworca kolei do miasteczka.

— Bądź spokojny, o niczem nie zapomnę.

Dałem rubli 30. Dziewczynka spała, gdy ją wywożono. W numerze zapanowała cisza... Wiewiórki spały, piesek także. Niechby przynajmniej one się zbudziły...

Nie głodne widać, to i śpią. A co będzie jak się dziewczyna przeziębi?

Wieczorem dnia tego grałem *Stanowawo* w dramacie »Pasierb«. Publiczność śmiała się do rozpuku i wywoływała. Nadzwyczajnie rzecz śmieszna; ciągłe jąkanie się i nic więcej: »fu-u-tro z-zja-dłem!«... Dziecko... chora kobieta... morfina... mróz.

Wyborna publiczność! dobrego serca publiczność!

Głupia i ślepa.

Wypiłem szklankę herbaty z Iwanem Jakowlewiczem, przesiedziałem z nim do trzeciej godziny w nocy.

Oczekiwałem żony nazajutrz późnym wieczorem, a tymczasem powróciła w porze obiadowej. Wszystko się odbyło lepiej jak myślałem. Zdjąłem z niej salopę i chustki, ogrzała się i poczęła opowiadać:

— Najęłam mamkę; Niunieczka spać będzie na przypiecku, na którym i ja spałam, będąc maleńką. Wszystko dobrze.

— Jakże tam odbyłyście tę podróż; czy dziecko dobrze dojechało?

— Ciągle spała, a gdy przyjechałyśmy nareszcie do ciotki, przebudziła się i poczęła płakać. Dałyśmy mleka i zasnęła, bo to widzisz z głodu tak płakała.

— Zasnęła, powiadasz, zasnęła?

— Nie inaczej; a potem wykąpałyśmy ją w niecułkach.

— Ale przecież tam u was zimno, ze wszystkich ścian wieje...

— To nic nie znaczy; drzwi zawiesiłam chustką, a szpary jak mogłam pozatykałam.

— No, to jeszcze jako tako, bo ty byłaś przy niej. Ale jakże będzie bez ciebie?

— Dobrze będzie; prosiłam, zaklęłam. Umówiłyśmy się za 15 rubli miesięcznie; pięć mamce, a dziesięć ciotce. Ciotka biedna, zkąd ma wziąść dziesięć rubli, a przecież musi mamkę żywić! Obiecała mi doglądać jak matka rodzona.

Zjedliśmy objad; chciałem, według zwyczaju, przedrzemać się godzinkę po obiedzie, ale nie mogłem. Ani oka zmrużyć. Bo i rzeczywiście jak to jej tam będzie? Takie to maleństwo, a ciotka caluтki dzień boży drepcze koło gospodarstwa, i jeszcze gotowa mamkę używać do roboty, o dziecku zapomniawszy. I jaka to tam mamka!...

— Czy ona zdrowa?

— Kto?

— No, ależ mamka?

— Zdrowiusieńka i tęga, pokarm jak najlepszy.

— Powiadasz jak najlepszy; czy tylko pewno?

— Pewno.

— A ty zkąd o tem wiesz?

— Lekarz mówił.

Wieczorem występowałem w wodewilu »Ochota gorzej niewoli«. »Uczynili bitwę wielką, narobili hałasów i nieporządków w zakładzie moim pijackim!« głosił język dla publiczności, a w głowie tymczasem ciągle myśl jedna i taż sama: co będzie, gdy dzieweczka się przeziębi z powodu niedbalstwa ciotki lub mamki, dlaczego nie było jej w domu zostawić!...

»Rozłącz ty nas, ojcze rodzony, rozłącz!« wrzeszczało z całych sił gardło, a jednocześnie pod czaszką co innego się plącze: czyż koniecznie ma się jej co złego stać? Za dwa lub trzy lata, odbierzemy ją przecież... i przy końcu sceny cały zajęty podobnemi myślami, rozbrajając bijące się baby, jednej z nich rozwiązałem przez roztargnienie tasiemki od spodnicy wcześniej, aniżeli z roli wypadało — spodnica opadła — skonsternowane aktorki stanęły jak wryte...

— Brawo, brawo, brawissimo, fora!... — grzmiała publiczność, ucieszona wielce niespodzianym efektem.

Skończyłem — do bufetu — i do domu.

Znalazłem Helenkę moją zajętą szyciem dla Niuni kaftaniczka ciepłego z jakiejś starej flaneli. Położyłem się i leżę, a żona wciąż szyje — i ani słowa.

— Leneczko!

— Co takiego?

— No a jakże to będzie, gdy wypadnie do Kijowa jechać; czy przywiozą nam ją tutaj?

— Niunieczkę? — a to po co? Przecież sam po odwiezieniu mówiłeś, że niech sobie tam przez dwa lata zostanie.

— No tak; ale bo to wiesz w Kijowie dobry klimat; jej byłoby tam wcale nieźle...

— Więc chcesz już ją do Kijowa brać, powiadasz, że byłoby jej tam nieźle? — mówi żona, uśmiechając się skrycie.

— Tak mi się zdaje... bo to widzisz... a zresztą nie wiem, jak byłoby lepiej.

Zamilkłem a żona znów ani słowa.

— Powiadałaś mi kiedyś, że ciotka twoja wielka złośnica, że cię nieraz biła — zaczynam da capo po przerwie.

— Ale któżby tam kiedy bił takie maleństwo!

— Hm... a kołyska tam jest?

— Niema; na przypiecku spi.

— A to mi ślicznie do stu par tysięcy! Czyście zwarjowały baby, kłaść dziecko na przypiecku! — zawołałem gniewny, zrywając się z kanapy. A jak dziecko spadnie z przypiecka, to co będzie?!... Na przypiecku, na przypiecku!... Jeżeliś się już raz porwała do czego, to rób jak należy! Napisz do ciotki, ażeby natychmiast kupiła kołyskę! Oto macie 5 rubli. Ach wy, dobrodziejki!...

— Ależ czegoż tak krzyczysz! Sam przecież chciałeś ażebym ją odwiozła, a teraz...

— Sam chciałem, sam chciałem!... Et, kto tam kiedy dojdzie ładu z babami!...

Przez kilka dni z rzędu tak było ze mną, jak bywało, gdy będąc chłopcem, zbroiłem co złego i co chwila oczekiwałem chłosty.

W niedzielę przed zapustami odebraliśmy od ciotki następujący list: »Kochana siostrzenico. Donoszę Leneczko, że już mi sił nie staje. Mamki przez pięć dni nie było; jak poszła to aż dopiero piątego dnia wróciła. Dziecko zasłabło. Nie wiem sama co począć. Wzywałam lekarza. Dwadzieścia pięć rubli, coś mi zostawiła, wszystkie się rozeszły. Dałam z nich mamce, zapłaciłam aptekę i lekarza, sprawiłam to i owo do domu — dość, że się rozeszły i już nie ma. Ulubiona kotka moja zdechła. Sama już nie wiem co począć« i t. d.

A to mi pięknie! I to mając własny swój domek, żywiąc się tylko cebulą i kartoflami, wydała całe 25 rubli w nie więcej jak w jakie dni dziesięć; a cóż będzie dalej?... Ot tobie i na przypiecku! Pisz zaraz do ciotki — powiadam żonie — ażeby mi natychmiast dziecię odesłała, ażeby

*) Feuille de route, prawo na konie pocztowe, niezbędne w Rosji dla każdego, kto chce pocztą podróżować.

na drugi dzień po odebraniu listu, było już, tutaj!...

Rozpoczęły się widowiska zapustne, dawano dwa razy dziennie, przed południem i popołudniu. W tłusty czwartek jak dziś pamiętam, grałem dwie role przed południem i popołudniu. Wróciłem do domu zmęczony i rozbity jak ta szkapa pocztowa, co po szosie wciąż biega. Pokrzepiwszy się według zwyczaju kieliszkiem, wróciłem do domu, nałożyłem szlafrok, zapaliłem papierosa i począłem się rozkoszować filiżanką herbaty. Leneczka szyła koszulinę dla niej.

— Chodź tu, tu o!... dał się słyszeć głos na korytarzu, i numerowy otworzył drzwi nasze.

Weszła mołodycia w kożuchu, trzymając na lewem ramieniu jakieś zawiniątko białe. Przeżegnała się trzy razy i pokłoniła się aż do ziemi.

— Czego chcesz?

Zawiniątko zapłakało żałośnie i wnet znalazło się na rękach Leneczki. Ciężko stąpając podkutemi butami, mołodycia postąpiła i pocałowała mię w rękę.

Dziewczynka okazała się istotnie mizerną; jakaś słabiutka, bladziutka. Ani chybi, że znów będzie w robocie koryto, woda i gorczyca!

— Leneczko moja, na śmierć zapomniałem!... Proszony jestem na kolację... jakoś nie wypada odmówić... Przyjm mamkę i daj jej co jeść.

Ubrałem się i uciekłem, a mnie ani prosił ktokolwiek!

Skończyły się zapusty. Poczęliśmy się pakować, a potem do Kijowa ciągnęli, jak stado wędrownych ptaków niebieskich... Na każdem przesiadaniu trzeba było liczyć: Leneczka, mamka, zawiniątko, dwie wiewiórki i piesek... Wszystko? — wszystko. Siadam ostatni i ruszamy dalej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

AMERYKA POŁUDNIOWA.

Wspomnienia p. A. Le Moyne

Z NOWEJ GRENADY I PANAMA.

Ci, co w Ameryce Południowej żyli, którzy spędzili tam najpiękniejsze lata młodości, wiedzą z własnego doświadczenia jak drogiemi są wspomnienia, jakie kraj ten pozostawia w sercach. Małą jest liczba Europejczyków, którzy zakosztowawszy życia amerykańskiego, tak łatwego, tak sprzyjającego wolności i swobodzie myśli, po oddychaniu powietrzem ustronnych samotni, przyzwyczaiwszy się dawać i z kolei odbierać szeroką gościnność, pozostali wierni swojej pierwotnej ojczyźnie. Mało Francuzów, Anglików lub Niemców, udających się do Ameryki południowej w zamiarze zrobienia tam fortuny albo karjery, cel osiągnąwszy powróciło. Liczy się we Francji, Anglji i Niemczech powracających, nie liczy tych co pozostali.

Wyjątek z tej reguły stanowią urzędnicy publiczni ministerjum spraw zagranicznych, a mianowicie ajenci dyplomatyczni i konsularni francuscy. Ci wracają prawie wszyscy. Wracają, bo dla nich przywiązanie do ziemi rodzinnej zdwaja się w miejscu urzędowania. Trzymają oni chorągiew francuskiej narodowości wśród obcych ludów; a miłość sztandaru wzrasta w miarę walk jakie się zań stacza. Zresztą nie wolno im w krajach gdzie rezydują, prowadzić jakichkolwiek na swój rachunek interesów, życie ich więc i przyszłość jest we Francji. Pomimo to i oni ulegają urokom amerykańskiego życia, i po powrocie do ojczyzny, w starości jeszcze, wspomnienia uniesione z Ameryki południowej są ich najdroższym skarbem.

W skromnem zaciszu, nad brzegami Loary, p. A. Le Moyne, b. minister pełnomocny francuski w Ameryce Południowej, który spędził tam młodość, całe życie prawie, zebrał te swoje wspomnienia i wydał książkę p. t.: „La nouvelle Grenade, Santiago de Cuba, la Jamaïque et l'isthme de Panama.“ za którą mu wdzięczność należy. Zgromadził on w niej tyle szczegółów topograficznych i statystycznych, że wspomnienia jego nie tylko są zbiorem opisów i zajmujących opowiadań, lecz zarazem wybornym przewodnikiem dla podróżujących. Mają one jeszcze inną zaletę, która w oczach ludzi praktycznych uważaną być może za wadę — odnoszą się do czasów dawniejszych, do lat 1828—1843. Od tej daty, mnóstwo zmian zaszło nie tyle w gruncie rzeczy, ile na ich powierzchni. Grenadyjczycy czytając książkę powiedzą: „To są stare historje.“ Ale za lat kilkanaście, i za lat kilkadziesiąt, powie się po prostu: to historja.

Trudnoby było znaleźć opisy, bardziej dokładne. Ameryka Południowa cała, taka jaką była nazajutrz po wojnie o niepodległość, odżyła na stronnicach p. Le Moyne. Ludzie, którzy służyli pod Boliwarem stoją jak żywi, zwyczaje i obyczaje zachowały pod jego piórem całą barwę oniemal średniowieczną, najmniejsze szczegóły o osobach i rzeczach odmalowane są z prawdą, która zachwyca świadków naocznych, a bawi i poucza czytelnika.

Największe wrażenie, jakie podróżnik odnosi przy wylądowaniu w jakimkolwiek porcie Nowej Grenady lub równikowym, pochodzi z milczenia natury. Pakietboty, które krążą wzdłuż wybrzeży Oceanu spokojnego, przybijają zwykle do brzegów rano. Morze jak oliwa, wybrzeże jak aksamit obszyty frędzlami palm, horyzont zamknięty daleko olbrzymiemi górami, niebo bez chmur — takim jest niezmienny obraz pejsażu. Łodzi e przybijają do okrętu. Na nich murzyni i murzynki uśmiechając się pokazują białe zęby i częstują już zdaleka podróżnych stojących na pokładzie koszykami pomarańcz, bananów i ananasów.

Wizyta służby zdrowia zabiera wiele godzin, bo wszystko się robi powoli w tym kraju, gdzie życie ludzkie zdaje się gubić i tonąć w olbrzymiem odrętwieniu. Podróżnik wysiada na ląd w godzinach dnia, gdy zdrętwienie to jest najbardziej ponurem; są to godziny siesty. Sklepy zamknięte, ulice puste, domy milczące. Gdybyśmy tam weszli, zobaczylibyśmy w pokojach bez mebli, kupców w negliżach, kobiety w lekkich penjoarach, drzemiących w hamakach. Lecz nikt tam nie wchodzi; zdawałoby się, że to są umarłe miasta neapolitańskiej zatoki.

Niepodobna zapomnieć widoku Kartaginy Kolumbijskiej, gdy się tam wyląduje w godzinach południowych; — prawdziwy sfinx kamienny — to miasto pogrążone w wiekuistem milczeniu. Panama przedstawiało ten sam obraz. Szańce na wpół zburzone, uwieńczone hiszzpańskiemi działami XVII wieku, puste ulice, zawarte sklepy, a wszystko to spalone słońcem i drzemiące nad brzegiem morza; była to nowożytna Pompeja.

Dzisiaj Panama zbudziła się z długiego snu. Jankesy, pobudowawszy drogi żelazne, wydarli je marzeniu: z tym narodem trzeba koniecznie żyć. Już w r. 1857, w trzy lata po ukończeniu kolei, handel Panamy, nie licząc tranzytowego, wynosił, mówi p. Le Moyne, 20,400,000 fr. Handel tranzytowy, który coraz wzrasta, cenionym był na 316,000.000 fr. W r. 1872 pięć kompanij żeglugi parowej, z których dwie angielskie, dwie niemieckie i jedna amerykańska, przyniosły tej krainie regularną ruchliwość nowoczesnego życia. Cóż to dopiero będzie, gdy przekopanie międzymorza uczyni z tego miasta, tak długo pogrążonego w śmierci, którą Hiszpanja za sobą pozostawiła, uśmiechnięte wrota dwóch wielkich oceanów!

W epoce, w której p. Le Moyne przybył do Kolumbji, w r. 1841, punktem wylądowania na międzymorzu, było Chagrès, położone naprzeciw Panamy. Była to wówczas prawdziwa wioska nowego świata, utworzona z szałasów i palm, pełna słońca i wilgoci, gdzie życie zwierzęce i roślinne przeważało nad człowiekiem, przygniecionym tą siłą wyższą. Natura jest tak silną w Ameryce, że jej potężny uścisk daje nam uczuć naszą słabość: owady nas pożerają, rośliny wydzierają nam przestrzeń, wyziewy, dobywające się z gruntu, jak gdyby z wrzącego kotła, duszą nas, a po za tem wszystkiem, nieskończoność horyzontu przygniata. Człowiek czuje się wolnym, silnym wobec innych ludzi, lecz małym i słabym w obliczu tej siły powszechnej. To też jak mało potrzebuje on konfortu i jak mało do utrzymania i rozwoju swego materjalnego bytu! P. Le Moyne dostarcza nam przykładu:

„Po za skałami, na których panuje zamek, wieś Chagrès rozciągająca się na pochyłości, aż do brzegów rzeki, przedstawiała jedynie zbiór domów, a raczej chałup z desek i bambusów, zbudowanych po większej części na palach, dla przepuszczania wody podczas wylewów. Zaraz po wylądowaniu udałem się do jednego z najznakomitszych mieszkańców, do którego miałem list rekomendacyjny. Był to najbogatszy krajowiec, p. M. J. de Francisco-Martin. Dom jego, jeden z największych, składał się z trzech izb: jedna z nich była zawaloną pakami, skórzanemi baryłkami, wiązkami tytoniu i farbierskiego drzewa; druga, pół kuchnia pół sklep, była obwieszoną sznurami, na których wisiały: kiełbasy, kiszki, pierniki, suszone ryby, świece, wędliny; w trzeciej, która służyła zapewne za sypialnię, salon i jadalnię, znajdował się stół, kilka drewnianych krzeseł i hamaków, przymocowanych u belek. Tam to przyjął mnie gospodarz, oddając, stosownie do krajowego obyczaju, cały swój dom, wraz ze wszystkiem co się w nim znajdowało, do mojej dyspozycji.“

Ten uprzejmy obyczaj hiszpański praktykowany jest, z pewnemi zmianami, w całej Ameryce południowej. Zachwycasz się elegancją sprzętu, klejnotu, czegokolwiekbądź? *Do dyspozycji pańskiej;* chwalisz przepych mieszkania? *Do dyspozycji pańskiej.* Unosisz się nad pięknością konia? *Do dyspozycji pańskiej;* i wymawiając te wyrazy, jeździec złazi z konia, jak gdyby ci proponował, ażebyś natychmiast go dosiadł.

Zapewne, byłoby śmiesznem brać propozycję dosłownie; jest to tylko formułka ludzi dobrze wychowanych, lecz nadaje ona stosunkom towarzyskim pewien szczególny powab. Zresztą nie jest ona tak zupełnie błahą: dom twoich przyjaciół, ich stół, konie, wszystko to jest rzeczywiście do twojej dyspozycji.

Wszystkie miasta oceanu Spokojnego są do siebie podobne, z wyjątkiem chilijskich, którym klimat nadaje pozór miast europejskich. Po odrętwieniu dziennem, obudzenie się wieczorne ma w sobie coś czarodziejskiego. To co p. Le Moyne widział w Nowej-Grenadzie, zobaczyłby również i w krainie Równikowej i w Peru.

„Mało było domów, mówi on, gdzieby co wieczór nie dawano balów, trwających aż do rana. Dziwiło mnie, że w temperaturze 40 stopni C. młodzież miejscowa mogła okazywać tyle zapału. Zresztą bale te nie wymagały długich poprzednich przygotowań. Były one improwizowane, wraz z amatorską orkiestrą. Kobiety przepychu w strojach nie rozwijały, lecz wdzięki tych ładnych osóbek podwyższała sztuka, z jaką umiały układać swe piękne włosy. Czasami wpinały one w warkocze *lampyry* (nazwisko naukowe świecących owadów), które uwięzione w gazowem owinięciu, dawały świecąc i migocąc efekta czarodziejskie. Damy, które na nocne spacery robią sobie przepaski z takich świecących robaczków, ażeby je zachować przy życiu, zamykają na dzień w wydrążeniach bambusu lub trzciny cukrowej, gdzie żyjątka te znajdują dostateczne pożywienie."

I nie tylko klasy wyższe, to jest białe, improwizowały baliki przy odgłosach harfy, kastanjetów i tamburina. Zgromadzenia murzynów i murzynek formowały się każdego wieczora pod ochroną palm ocieniających ich chaty, i od szóstej godziny wieczorem, do szóstej godziny rano, cała Ameryka tańczyła.

Szczęśliwa bez trosk a, pod opieką łagodnego klimatu i prostoty obyczajów! Mało mózgu, wiele muskułów i apetyt łatwo zaspokojony: kto wie czy nie w tem leży szczęście. Niestety, rozkosznicy są straszliwie okrótni, a to są rozkosznicy ci, co żyją bez wysiłku na łonie urodzajnej natury, wśród bogactw roślinnych, zbierając owoce których nie sieli, zabijając zwierzęta których nie karmili. To też krew skrapia wszystkie rozkosze. Kreole, synowie Hiszpanów, negrzy, dzieci Afryki, Indjanie, rozkoszują się widokiem boleści, a morderstwa spełniane w śród walk cywilnych i turtury zadawane zwierzętom na barbarzyńskich igrzyskach, świadczą o dzikiej radości, jakiej doświadczają te ludy, zadając cierpienie.

Zapomina się o tej odwrotnej stronie medalu, kołysząc się wraz z p. Le Moyne na Rio-Magdalena. Och! co za rozkoszna podróż! W dzień sunąć się po wodach spokojnych, okrytych nenufarami, wśród milczenia olbrzymich lasów i ochrony lekkich palm bambusowych; w nocy słuchać tysiąca głosów natury i zwierząt żyjących szczęśliwie jakby w ziemskim raju; odwiedzać wioski indyjskie i doświadczać w najuboższej chatce starożytnej gościnności; zbierać owoce spadające na ziemię..... czyż to nie rzeczywistość tak piękna jak sen najpiękniejszy?

Podróż lądem jest nie mniej zachwycającą. Pozostawmy na boku trudności jakie przedstawiają dla jeźdźca ścieżki wytknięte prostopadle w miękkiej glinie, lub nakształt schodów wycięte w skale, pomińmy strumienie wzbierające w kilku minutach, które podróżny myśli przebyć wbród i nagle widzi się zaskoczonym masami wody podobnemi do groźnej lawiny — a pomyślmy o świeżych, orzeźwiających porankach, gdy się kłusuje po lasach, po tych lasach dziewiczych, co są wzorem gotyckiej katedry: pnie wysmukłe, gałęzie giętkie, sploty nieskończone. Pod drzewami olbrzymiemi co się wznoszą szukając powietrza, prawdziwy raj paproci, pijących gorące wyziewy, a co ptaków, co świetnych owadów zaludnia te pałace zieloności!

„We wsi Graduas, w stolicy kantonu tegoż nazwiska, w prowincji Bogota, kolibry były w tak wielkiej ilości, że je widziałem całemi setkami fruwające w około jednego pomarańczowego drzewa w kwiecie. Pomiędzy Graduas i Billeta widziałem wśród drzew, pod któremi przechodziła droga, mnóstwo gniazd, które zawieszone na końcach wątłych gałązek za pomocą pręcików z łoziny, chwiały się i bujały za każdym powiewem wiatru. Ptak, który tak gniazda zawiesza, i którego nazywają tam *muchillero*, to jest robiący worki, czyni to dla zabezpieczenia potomstwa przed małpami, które nie odważają się złazić aż na same końce gałęzi, gdy czują, że te się pod niemi chwieją. Te gniazda szczególne, mają zwykle około metra długości i jeden tylko otwór u samego dołu, lub mało co wyżej w grubszym końcu!"

Powaby natury w Ameryce są dotąd jeszcze prawie nieskażone; lecz obyczaje, te obyczaje hiszpańskie XVI wieku kto je powróci? Przynajmniej że je p. Le Moyne w swej książce jak na płótnie utrwalił. Niech ci, którzy lubią oryginalne obrazy czytają ją, niech ci których zajmuje budzenie się nowego świata i którzy słusznie sądzą, że dzieci ich jeszcze bardziej świat ten interesować będzie, mają ją w swojej bibljotece. Książka ta będzie również ciekawą w przyszłości, jak dziś są prace historyków współczesnych podbojowi. Lasso de la Vega, Herrera, Zarate, odmalowali stan kraju w czasach, gdy cywilizacja europejska stawiała w nim pierwsze kroki; opowiadanie p. Le Moyne zachowa nam obraz Ameryki południowej w chwili, gdy duch wolności otworzył jej nową zupełnie erę.

M. B.

ŚPIEWAK.

(Z GOETHE'GO).

«Co słyszę od zamkowych bram?
Jakiż to śpiew rozbrzmiewa?
Niechże tu w sali dźwięczy nam,
Niechże nam tu zaśpiewa.»
Rozkazał król; pacholę w bieg
Spieszy, powraca; a król rzekł:
«Wprowadźcie mi tu starca».

«Panowie, o, witajcie mi!
Witajcie piękne panie!
Jak niebios strop — gdzie gwiazdka lśni
Przy gwiazdce — to zebranie.
Przepych i blask olśniewa mię:
Nie czas w zdumieniu cieszyć się,
Więc schylcie się powieki!»

Przymknąwszy oczy — boski czar
Rozlewa w pełnych tonach;
W źrenicach mężów błyszczy żar,
Wzrok pań utkwiony w łonach.
I króla wzrusza pieśni ton:
Wzywa śpiewaka poprzed tron,
Złoty mu łańcuch daje.

«Nie mnie łańcuchem złotym darz!
Raczej nim czcij rycerze,
Których odwaga zdobi twarz,
W proch wroga trze puklerze;
Lub kanclerzowi daj go w cześć:
Ma go ciężarów nadmiar gnieść,
Niech go i złoty gniecie.»

«Ja śpiewam, jak ot ptaszę, tam
Ukryte w drzew gęstwinie;
Nagrodę hojną w pieśni mam,
Która z mej piersi płynie.
Lecz jeśli wolno prośby słać,
Każ królu wina puhar dać,
A puhar szczerozłoty.»

Pochwycił w dłoń, do ust go wzniósł.
«Napoju mój wspaniały!
Bogdajby dom ten w szczęście rósł;
Gdzie taki dar — jest mały.
W szczęściu — niech pamięć o mnie trwa,
Dziękujcie Bogu, jako ja
Za wino wam dziękuję.»

St. Dobrowolski.

WAGA.

Na niebie waga jest wielka,
A przy niej anioł na straży;
Anioł na ziemię spogląda
I ciągle waży, a waży.

Kto cię postawił tam w górze,
Co ważysz? powiedz aniele.
— «Bóg mię postawił, a ważę,
Komu ma przypaść łez wiele.

«Śmiechy, szyderstwo, ironję
Na jednej układam szali,
Na drugiej w urnę łzy zlewam,
Łzy, które smutni wylali».

A gdy z szal która przeważy,
Co robisz wtedy aniele?
«Gdy radość, to łez dolewam,
«Gdy łzy, to kładę wesele.

«Bo jedni z ciągłą tęsknotą
Zdążają życia koleją;
Inni w niebacznej radości
Z siebie i świata się śmieją.

«Nie wiedzą oni, że kiedyś
Waga się w niebie przechyli —
I cieszyć się będą smutni,
Smucić ci, co się cieszyli».

St. Rossowski.

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

TOM II.

(Ciąg dalszy.)

Powalony przypadkiem o ziemię Machabejczyk leżał jakiś czas w błocie, w tem przekonaniu, że znajduje się już na łonie Abrahama; po chwili wszakże ocknął się, wstał powoli i począł krzyczeć, iż go zabito w sposób skrytobójczy, połączony z rozmaitemi okrucieństwami, wymagającemi bezpośredniej interwencji wszystkich sześciu mocarstw tej części świata, w której leży Milicja. Utrzymywał, że pozbawiając go życia, połamano mu wszystkie ręce i nogi, odtrącono kawałek głowy, i zgruchotano nowiusieńki kapelusz, przed miesiącem zaledwie od pewnego »hrabiego« za pięćdziesiąt mizeraków kupiony. Nie potrzebuję dodawać, że we wszystkiem tem nie było ani słowa prawdy; natomiast dodać muszę, że Stanisław, ciągle jeszcze nie mogący przyjść do siebie wobec tak niezwykłego pojawienia się i zniknięcia dra Mitręgi, stał się w okamgnieniu środkowym punktem zbiegowiska, złożonego z samych potomków Judy i Benjamina, i że go wzięto za sprawcę popełnionych właśnie mordów. Pozycja jego stawała się coraz trudniejszą, zwłaszcza gdy w Wilkowie na trzech mieszkańców przypada zaledwie jeden policjant lub żandarm, wkutek czego w razie jakiejś bójki najczęściej nie znajdzie się pod ręką nikt powołany z urzędu do przywrócenia i utrzymania porządku publicznego. Na szczęście drzwi kasy i ekspedycji *Orędowniczki Wilkowskiej* były o krok tylko od mojego bohatera, a w drzwiach tych pojawiła się nagle olbrzymia postać, w której nie trudno było poznać właściciela owej pięści, która pojawiła się była przed chwilą tuż obok kołnierza p. Mitręgi w czasie gdy — według wszelkiego prawdopodobieństwa mimowolnie — opuszczał lokal redakcyjny. Postać ta samem pojawieniem się swojem spowodowała nagły odpływ wzburzonych fal machabejskiego żywiołu, a z odpływu tego skorzystał Wołodecki i dostał się bez dalszych przeszkód do bióra redakcji. W ślad za nim pojawił się tam kasjer i wprowadził dwóch jegomości. Pierwszym z nich był ów kolos, któremu Stanisław dopiero teraz przypatrzył się bliżej. Był to barczysty mężczyzna, mający sześć stóp wzrostu, z ogromnym sumiastym wąsem, jasnego koloru, z odpowiednią łysiną, ubrany w popielatą kurtkę z zielonemi wypustkami, w wysokie myśliwskie buty i niebieską krawatkę w białe cętki. Drugi jegomość, równie słuszny, był szczuplej kompleksji, miał obrzednią czuprynę krótko strzyżoną i okulary które co chwila przybierały na jego nosie pozycję jak najmniej odpowiednią akomodacji wzroku; ubrany był elegancko i miał ruchy trzepiące się i nerwowo niespokojne.

— Dr. Scisłowicz, Wielmożny pan Harapnicki — zarekomendował kasjer.

— Mam panom oświadczyć w imieniu hrabiego Albina Skirgiełły — rzekł uroczyście chudy i elegancki jegomość — że hrabia cofa pełnomocnictwo, dane swojego czasu ustnie p. Mitrędze do nabycia, administrowania i redagowania *Orędowniczki Wilkowskiej*. Jednocześnie mam zaszczyt... to jest mam przyjemność, przedstawić panom nowego właściciela i wydawcę w osobie obecnego tu p. Harapnickiego.

Członkowie redakcji skłonili się w milczeniu, a nowy właściciel i wydawca spojrzał na nich, nie okiem wodza, który przegląda szeregi pod jego buławą mające dążyć do zwycięztwa, ale okiem doświadczonego hodowcy bydła, który wybiera z trzody wołu najbardziej kwalifikowanego do jatek. Poczem, musnął wąsa i rzekł:

— Jutro tu się wszystko ureguluje, a tymczasem proszę pisać, i — tu wskazał resztki lukullusowej uczty, której byliśmy świadkami — żeby mi tego więcej nie było! To łajdactwo!

Wygłosiwszy ten sentyment, pan Harapnicki wyszedł w towarzystwie dr. Scisłowicza, o którym już wiemy, że był adwokatem hr. Skirgiełły. Członkowie redakcji zostali na miejscu, pogrążeni w rozpamiętywaniach, których tu obszernie opisywać nie mogę. Wedug przyjętych prawideł, człowiek dotknięty obelżywym wyrzutem powinien się oburzyć, zerwać wszelkie stosunki z tym, który go obraził, i rozprawić się z nim następnie w sposób honorowy. Jeżeli wszakże ten człowiek od sześciu miesięcy jest głodnym, jeżeli może w dodatku ma rodzinę niemniej głodną, i jeżeli cały byt jego i tej rodziny zawisł od tego, który go obraził, to w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto człowiek taki po pierwszym wybuchu uczucia namyśli się i połknie gorżką pigułkę. W Wilkowie stosunki są zaś tego rodzaju, że czeladnik kowalski albo krawiecki może pogniewać się na majstra i znaleźć zarobek gdzie indziej, ale czeladnik dziennikarski oddany jest bez miłosierdzia na pastwę pierwszego lepszego Harapnickiego, który wypływa na powierzchnią jako »właściciel i wydawca.« Dla tego też członkowie redakcji *Orędowniczki*, wygniewaszy się ile chcieli, zasiedli na nowo do pisania i tylko od czasu do czasu spoglądali z pod oka ze skruchą na niedogryzione fragmenta swojego »łajdactwa.»

Zkąd się wziął pan Harapnicki? Oto: Drukarze i dostawcy papieru *Orędowniczki* wiedzieli, czego świat nie wiedział, tj. że dr. Mitręga był tylko pełnomocnikiem hr. Skirgiełły, albowiem dr. Mitręga powiedział im to był sam, gdy się upominali natarczywie o zapłatę. Nie mogąc się jej doczekać, poczęli pisywać listy do hrabiego, coraz nieprzyjemniejsze. To jedna strona kwestji.

Z drugiej strony, hrabia, jako jeden z największych »myśliwych przed Panem», jak się wyraża Pismo Święte o królu Nimrodzie, posiadał oprócz najdoskonalszych strzelb, psów i koni, także pomienionego i opisanego powyżej Harapnickiego, który zaskarbił sobie był łaskę pańską tem, że raz siekierą uśmiercił niedźwiedzia, a drugi raz jednem kopnięciem nogi powalił mijającego go rozjuszonego odyńca i zarznął go następnie kordelasem. Od tego czasu żaden plenipotent, żaden rządca ani techniczny oficjalista nie miał tyle do mówienia w skarbach i kluczach hr. Skirgiełły, co Harapnicki. Gdy atoli hrabia oddawał się łowiectwu, równie jak każdemu innemu sportowi, nie ciągle, ale paroksyzmami, gdy nadto Harapnickiemu sprzykrzyło się pilnować psiarni, więc wypraszał sobie jednę posadę po drugiej, ale na żadnej jakoś nie zagrzał miejsca. Jako leśny, dał się rozmnożyć szkodliwemu »kornikowi» w swoim rewirze. Zrobiono go gorzelnikiem, i doczekano się w dwóch miesiącach jedenastu awantur z poborcami akcyzy. W skutek tego Harapnicki awansował na dyrektora młyna parowego i ten odtąd mełł tak doskonale, że wyprodukowanej w nim mąki, oprócz nierogacizny, nikt nie chciał uważać za pokarm godny podniebienia i żołądka. Oddano mu tedy z kolei w specjalny jego zarząd browar, przędzalnię lnu, kopalnię węgla i stadninę; a nakoniec polecono mu budowę kościoła, ale wszystko z równie niepomyślnym skutkiem. Co widząc hrabia, uchwalił, że Harapnicki, jako urodzony na wsi, powinien przecież rozumieć się na gospodarstwie, i w skutek tego zrobił go samoistnym ekonomem w jednym ze swoich najlepszych folwarków, gdzie ziemia niemal sama wszystko rodziła. Ponieważ atoli zaprowadzony tam był oddawna płodozmian, a Harapnicki znał i widział tylko gospodarstwo trzypolowe, więc tak się dzielnie spisał, że oprócz perzu i chwastów, wypielęgnował jeszcze tylko nieco owsa na osypkę dla chartów.

Hrabia miał właśnie pod ręką raport rządcy o tym świetnym wyniku gospodarstwa, a Harapnicki stał u drzwi w nader skruszonej postawie.

— No, i powiedz-że mi, mój kochany — mówił hrabia — co ja z tobą pocznę? Chyba cię na nowo poszlę do psiarni!

Nim Harapnicki zdołał otworzyć usta do odpowiedzi, kamerdyner podał hrabiemu na tacy list, który ten otworzył machinalnie i przeczytał. Był to jeden z listów, o których mówiłem.

— A niechaj-że ich wszyscy... nieświęci porwą — krzyknął hr. Albin — tego już wytrzymać niepodobna! Pana doktora Mitręgi mam już dosyć, po same uszy! Józef! Każ zaprzęgać konie, jadę do Wschodnich Indji! A... a... słuchaj-no, Harapnicki, możebyś ty chciał być redaktorem?

— Ha, jeżeli Jaśnie pan rozkaże, to będę, ale znowu nie wiem, czy potrafię...

— Potrafisz, potrafisz! Tam nie potrzeba płodozmianu; możesz prowadzić gospodarstwo, jakie ci się podoba. Jak polityka górą, to możesz np. literaturę puścić w ugor, a tymczasem z ekonomii politycznej będziesz miał jarzynę. Czekaj, ja ci zaraz napiszę list do Scisłowicza, i pojedziesz z nim do Wilkowa.

Taki był początkowy przebieg tej sprawy. Dr. Scisłowicz zajął się stroną jurydyczną i formalną, a Harapnicki przełamał fizycznie opór dr. Mitręgi i wszedł w posiadanie wydawnictwa. Nazajutrz po sce-

nie, którą opisałem, oświadczył każdemu ze współpracowników, że zmniejsza dotychczasowe jego honorarjum o połowę; w szczególności zaś Wołodeckiemu oświadczył, że to rzecz niesłychana, ażeby kto za pisanie do gazet brał prawie tyle, co trener, mający do czynienia z kosztownemi folblutami. Pocieszył atoli wszystkich podkomendnych zapewnieniem, że odtąd będą mieli bardzo mało do czynienia, albowiem postanowił zapełniać większą część *Orędowniczki* inseratami, za które bierze się pieniądze, a drukować jak najmniej tych wszystkich »bzdurstw«, których czytać nie warto.

Stanisław wyszedł z biura zasępiony, ale nie trapiony już tak mocno przez zwykły korpus blokady, który uspokojono na parę dni zapewnieniem, że z nowym właścicielem przybędą i wkrótce nowe pieniądze. Na ulicy spotkał Smiechowskiego, którego nie widział już od kilku tygodni, tj. od czasu, gdy nastało zimno; wstydził się bowiem jakoś pokazywać o takiej porze w letniej zarzutce w domu, gdzie były kobiety — nie mówiąc już o tem, że w ogóle garderoba jego była w stanie przejściowym z niedoskonałości do ostatecznej ruiny.

— Jak się masz? — zawołał p. Władysław. — Cóż to, czemu się nie pokazujesz tak długo! I czyś ty oszalał, na 17 stopni Réaumura mrozu chodzisz w takiej katance?

— Nie przypuszczałem... że tak zimno...

— No, no, mój kochany, pomówmy trochę na serjo. Wiem, że ci płacą nieregularnie, ale kiedyś przecież będą musieli zapłacić. Masz pożyczać u lichwiarzy, to wolisz pożyczyć odemnie.

— Nigdy w świecie! Nie wiem, czy będę mógł spłacić długi, które mam już teraz. Zresztą, już niedaleko do wiosny...

— W grudniu nie daleko do wiosny! Słuchaj. Nie chcesz ruszać papierów, od których procent posyłasz matce, i masz słuszność. Musisz atoli wiedzieć, że papiery twoje stoją obecnie nierównie wyżej, niż staly, zarobiłeś więc na nich paręset idealników, które możesz zrealizować kupując obligi tańsze a równie pewne. Podejmuję się tej negocjacji, a tutaj oto masz na rachunek zysku 150 idealników, ale idź natychmiast do krawca i wyekwipuj się na zimę.

Po półgodzinnej dyskusji p. Smiechowski zdołał nakoniec przekonać Stanisława, że pożycza mu tylko własne jego pieniądze, bez uszczerbku kapitału przeznaczonego dla matki, i nakłonić go do przyjęcia pożyczki.

— A teraz, jeszcze jedno — dodał. Nie wiem co począć z moim Tadziem, któremu nie mogę dobrać korepetytora. Uchwaliliśmy tedy na walnej radzie wojennej z Alojzą i z Marynią, że czy chcesz, czy nie chcesz, musisz podjąć się tej misji, bo wiemy, że popołudniu nie masz zajęcia w biurze. Czeka na ciebie wygodny pokoik na drugiem piętrze, a honorarjum otrzymasz takie, jak twoi poprzednicy, t. j. 15 idealników miesięcznie.

P. Smiechowski zmyślał, bo poprzednicy Stanisława otrzymywali tylko 10 idealników, i nie mieli pomieszkania w dodatku. Propozycja jego była atoli tak naturalną, że Stanisław przyjął ją bez namysłu. Tego samego dnia jeszcze, przebrawszy się po ludzku, przeniósł się wraz z nielicznemi swojemi ruchomościami do pokoiku w kamienicy Smiechowskiego. Na zasadzie zaś nowej tej i dodatkowej posady, i ze względu, iż dotychczas żył jakoś z 15 idealników pożyczanych co miesiąca, zrobił układ ze swoimi wierzycielami, mocą którego na spłatę długu wynoszącego około 300 id. przekazał im na przeciąg ośmiu miesięcy całą swoją pensję w *Orędowniczce*, zredukowaną do 60 idealników. Uskuteczniwszy to, po raz pierwszy od długiego bardzo czasu odetchnął swobodnie, i dopiero teraz, rzuciwszy okiem w najbliższą przeszłość, zdał sobie sprawę z tego, ile wycierpiał rozmaitej biedy, i jak mocno mu ona umysł była przygniotła. Być może, że westchnął raz jeszcze do owych marzeń i złudzeń, z których rozwianiem się jednocześnie jakoś nastała owa bieda, ale nie miał czasu długo wzdychać, bo proszono go na herbatę do pp. Smiechowskich. Tam ciągle już teraz było tak miło i swojsko, jak to widzieliśmy zaglądając po raz drugi do salonu pani Aloizy, a w dodatku, wszystko było w jak najlepszym humorze. Panna Marynia tylko nie była tak pusto wesołą i niewinnie ucinkową, jak zwykle; oczy jej jedynie świeciły jakiemś niby wielkiem zadowoleniem, czy cichem szczęściem, czy jak się to komu nazwać podoba. Stanisław znowu śmiał się tego wieczora po raz pierwszy od roku, żartował, opowiadał między innemi w sposób niezmiernie komiczny wstąpienie p. Harapnickiego na tron redakcyjny i naśladował wybornie ruchy dra Scisłowicza, jego urzędowy ton mowy i jego ciągłe tarmoszenie się z nieposłusznemi okularami. Sam nie wiedział, dla czego mu tak dobrze i wesoło, i zaledwie spostrzegł, że wybiła już jedenasta i że kobiety poznikały już od pewnego czasu. Udał się tedy na górę i ku wielkiemu swojemu zdziwieniu spotkał na schodach pannę Marynię w towarzystwie jednej z Basiek czy Kasiek p. Smiechowskiej. Powiedziała mu w przelocie: dobranoc, i znikła.

Stanisław wszedł do swego pokoju, zaświecił świecę, i rozglądnął się w koło. Uderzyły go dwie rzeczy. Najpierw, jakiś miły i nie narzucający się zbytnio zapach fiołkowy, który napełniał powietrze, a potem jeszcze coś, czego nie mógł dociec od razu. Coś się zmieniło w fizjonomji pokoju, ale co?

Wyprzedźmy powolnego w spostrzeganiu bohatera naszego, i powiedzmy, co to było. Oto Stanisław, mimo nieświetnych stosunków, wśród których wyrósł, przyzwyczajony był do pewnych wygód, a do tych należał między innemi tak zwany *jasiek*, ochrzczony tak przez płeć piękną zapewne z powodu, iż po nad wszystkich Michałów, Jakóbów, Józefów i t. p. najmilsze jej są Jany. Tylko że wśród długiej niewypłacalności swego pana, jasiek ten sterał się był niepospolicie i nie miał ani jednej całej poszewki, tak, że nie miło było spojrzeć na niego. Teraz zaś, świecił w jakimś nowym nigdy nie znanym blasku. Stanisław przypatrzył mu się bliżej. Poszeweczka na nim była śnieżnej białości, cieniutka, haftowana, czy nawet obszyta koronkami, a w jednym jej rogu oko publicysty-pedagoga odkryło bez trudności misternie wyszyte litery: M. S. Ponieważ pan Smiechowski był W. S., jego żona A. S., a jego syn T. S.; więc nie wiem doprawdy, czyja to mogła być poszewka? Nie wiem także, czego Stanisław tak długo dumał nad nią, wiem tylko, że gdy skończył dumanie, pocałował, ale znowu nie wiem, czy jaśka, czy poszeweczkę, czy litery...

(Ciąg dalszy nastąpi).

WSPOMNIENIA LEKARZA

z wojny turecko-rosyjskiej w r. 1877 i 1878

przez

Dr. SOIKĘ.

(Ciąg dalszy.)

III.

Siedziba w Topkapu. Naïda. Zamach w czasie noclegu. Ramazan. Zagrożone życie. »Bądź zdrowa« Naïdo!

Naszą nową siedzibę w Topkapu stanowił drewniany, jednopiętrowy konak, pod strażą *minaretu* i *moszei*, położony w ogrodzie między drzewami, których gałązki z owocami i winogronami wdzierały się do okien. Wewnątrz mieściły się nizkie *dywany* (kanapki, naokoło ścian). Oprócz lustra, obrazu armeńskiego patrjarchy i sprzętu nakształt komody, nie było zresztą nic.

Gadatliwy gospodarz w okularach opowiadał nam, mimo głuchych dlań uszu, o wojnie, o ile dorozumieć się mogłem z wyrazów: *Moskow, Plewna* i t. p.

Wkrótce rozeszła się wieść o przybyciu węgierskich bejów (hrabiów) i przychodzili mieszkańcy, którzy w każdym cudzoziemcu upatrują *Inglisza* albo *Madiara*, by zaczerpnąć wiadomości o nas u źródła. Obie te narodowości były dla nich uosobieniem sympatji i przyjaźni i trzeba przyznać, że szczególnie Anglików wysoce cenili wierząc ślepo w ich pomoc. Z razu bawiło mnie to jako nowość.

Z początku byłem jak na tureckiem kazaniu, gdyż z nikim nie mogliśmy się porozumieć. Wprawdzie pierwsze wyrazy tureckie, jakich się nauczyłem, były: kocham, chleb i woda, jednakże było to za mało. Pierwszego dnia pomagał mi *terczìman* ze szpitalu. Ponieważ wzięliśmy mieszkanie z jedzeniem, poleciłem mu, by gospodyni opisał sposób przyprawiania kawy w Europie i zbadał zasoby jej spiżarniane. O białej kawie nasi gospodarze nie mieli pojęcia, lecz pragnąc spełnić nasze życzenie, nalali do kawy gotowanej na sposób turecki, a zatem z gęstym osadem, zimnego mleka. Był to ciekawy trunek, ale będąc na wojnie, pomyślałem, żołnierz nie przebiera.

W południe mieliśmy jeść obiad — co dziwnem się bardzo wydawało, bo na całym wschodzie jadają dopiero wieczorem. Podano nam pieczone mięso, „*jesieliki* (jarzyny), owoce i wino. Zupy nie było żadnej. Za leguminę służył chleb. Wieczorem dano nam to samo, na następny dzień także, na trzeci dla odmiany znowu to samo w południe i wieczór. Żołądek mój był w rozpaczy na myśl jedzenia jednego i tego samego np. przez półtora roku. Za każdym razem powstawał jakiś ambaras; ani soli, ani octu, ani noża; rozmówić się z turkiem niepodobna, trudno dla lada drobnostki posyłać do szpitala po Jakuba. Zacząłem używać mimiki: Najlepiej pojmowała mnie czarnobrewa Naida, córka gospodarza, licząca lat siedmnaście, krew a mleko, z ogniem niebezpiecznym w oku. Ona uczyła mnie, pokazując na przedmiot i dając mu nazwę po turecku; lecz najgorzej gdy nie było przedmiotu, na któryby można było wskazać.

Nadszedł wieczór, pokazałem na migi Naidzie, iżbym się chętnie przespał. Na rozmowie oczu znała się dobrze. Skrzętnie wzięła się do pracy, a ponieważ żadnego nie było łóżka, wyciągnęła czystą, aż pachnącą pościel z szafarni i posłała mi na ziemi. Tak na miękkim sienniku, napełnionym krajkami, kawałkami sukna i wełną, przemyśliwałem nad dobrą nocą, jaką zdawało mi się — mieć muszę, gdy mi to dziewcze posłało. Opuściła mnie nawet trwoga poderznięcia gardła, i jeszcze tylko zastanawiałem się nad wentylacją naturalną, mianowicie nad szparami w ściennych deskach, któremi dął wiatr, jakby z miecha; wyperswadowałem sobie jednak, że przed wojną na laurach spoczywać niepodobna.

Usnąłem — rano budzę się: — wyglądałem jakby już po stoczonej bitwie. Cała twarz, nos, czoło, usta, ręce, nogi posiekane od tureckich — nie kindżałów lecz komarów zwanych tam „*sinek*.“ W szpitalu nie mogli mnie poznać z pod opuchniętej twarzy i żartowali sobie, że muszę mieć krew słodką. Potrzebowałem całego tygodnia do odrestaurowania się. Lecz nadeszła noc druga. Co począć? Bieda jest matką wynalazków. Naida, którą podejrzywałem niesłusznie o zmowę z komarami, z wyrazem politowania okryła mnie swoją woalką; włożyłem rękawiczki na ręce a pończochy na nogi, i tak uzbrojony sypiałem jak rycerz w średniowiecznej zbroi.

Lecz nie dość na tem.

Co dzień po północy, gdy nakarmione muchy i komary uspokoiły się i ja z tej właśnie okoliczności korzystając, usnąłem, budziły mnie dzikie dźwięki bębnów i straszliwe odgłosy niezwykłych instrumentów. Serenady te miały Turkom zwiastować, że za dwie godziny słońce wejdzie i że czas nadszedł, aby się na cały dzień pokrzepić. Przybycie moje przypadło na początek miesiąca *Ramazanu* t. j. pod czas postu, który bywa ściśle przestrzegany z wyjątkiem jednych żołnierzy. Miasto i okolice miały dlatego nietylko cechę wojenną ale i świąteczną.

Opuszczając konak, zastałem przed progiem, wedle wschodniego zwyczaju, drewniane pantofle z rzemykami i wysokimi obcasami, współzawodniczącymi z korkami dam na zachodzie. Pantofle te kładą się na obute lub bose nogi dla chodzenia po błocie. Zostawiając je potem na domowej przyźbie, czystu podłoga nie ponosi szwanku.

Na drugi dzień naszego pobytu na wsi, wybraliśmy się na Pera. Idąc po drodze jadłem winogrona i nie mogłem pojąć, za co przechodzący rzucali na mnie złowrogie spojrzenia. Nie wiedziałem o żadnym przepisie koranu i byłem mimowoli powodem publicznego zgorszenia, albowiem w czasie ramazanu prawowierny Turek nie ruszy ani kawałka chleba, ani cygareta, ani orzeźwi spragnione usta kroplą wody od świtu do zmroku. Zaczyna dopiero jeść i pić z zachodem słońca na dany znak wystrzału, rozlegającego się wśród uroczej ciszy wieczornej. Po odbytej biesiadzie poświęca jakiś czas uroczystości, a potem kilka godzin na spoczynek. Po północy wstaje na hasło wspomnianej muzyki do rannego, drugiego objadu, który trwa tak długo, dopóki ramazanowe działa nie oznajmią wschodu słońca. Natenczas kładzie się znowu spać, a resztę dnia poświęca zwykłym zatrudnieniom. Wielkie jest jego zaparcie; odkłada zwinięte i gotowe już cygareto na później, aż działo dwunastą godzinę wystrzeli. Po zachodzie słońca wyruszyliśmy z powrotem, ale ponieważ droga była daleką, zaskoczyła nas noc. Idziemy sobie w dobrej myśli, gawędzimy, w tem jakby meteor spadł z nieba — gwałtu! — bagnet, nasadzony na karabin zabłysnął mi przed samym nosem. Nie chciałem oczom wierzyć, lecz niestety widziałem go, szpiczasty jak sztylet, wyostrzony na obie strony A to dopiero historja! Nie umiejąc po turecku, nie mogąc zatem rozmówić się z żołnierzem, nie pozostawało mi nic, jak dać się chyba zakłuć. Na szczęście, z pierwszego ochłonąwszy przestrachu, przypomniałem sobie, że umiem jeden wyraz, to jest „lekarz“ i krzyknąłem „hekim Maltepe“. Słysząc to, żołnierz cofnął bagnet. Zamruczał coś i puścił nas. Odetchnąłem. Była to straż posterunkowa, która na nas wołała, lecz myśmy nie rozumieli i przeszli — wzięła nas zatem za szpiegów, korzystających z nocy. Dopiero później w szpitalu dowiedzieliśmy się, iż wzbronionem jest chodzić wieczorami bez latarki.

Była to nasza ostatnia do Pera wycieczka. Nie wydalaliśmy się, by znowu jakiej awantury nie doznać, zwłaszcza, iż w tym czasie dwóch służących z naszego szpitalu okradziono i puszczono w koszuli i spodniach. Gościniec prowadził wśród lasów i cmentarzy i był o ciemnej porze niebezpieczny. Wkrótce znowu przyprowadzono do szpitalu żołnierza, któremu Zeibek hanczarem uciął palce, gdy nie chciał dobrowolnie dać ukraść sobie woreczka z pieniądzmi. Straszne Zeibeki snuli się na tej drodze, gdyż mieli w okolicy swoje koszary. Zeibeki jest to ochotnicze nieregularne wojsko z pod Smyrny, w fantastycznym ubiorze, w szerokich fałdzistych *szwimhosach* (majtkach), z obnażonemi kolanami, w wełnianych cholewkach na łydkach i turbanie na głowie w kształcie piramidy; poniżej piersi noszą szeroki sięgający do bioder pas z całym, ma się rozumieć, arsenałem.

Wieczorami, przed zmrokiem, w braku innej rozrywki, przechadzałem się po zaroślach cmentarzy, nie posuwając się za daleko, by nie zbłądzić w cyprysowych lasach i nie spotkać się z baszibożukami. Powietrze było świeże, napojone wonią cyprysów i innych roślin. Siadałem na kamiennym pomniku i przemyśliwałem nad sposobem przeniesienia się napowrót do Pera. Dzielnica ta, zamieszkana przez Europejczyków, zwanych przez Turków Frankami, mieściła wielu Polaków emigrantów, obiecywała zatem więcej towarzyskie życie. Tutaj byłem ograniczony do towarzystwa jednego kolegi współmieszkańca, inne zaś stosunki, przy braku z mojej strony znajomości języka tureckiego lub greckiego, były niemożliwe. Wprawdzie były kawiarnie we wsi, lecz bardzo wstrętne, gdyż izba gościnna i tak już sama przez się brudna, była zarazem i golarnią. Obrzydliwość więc brała, jak *kawehczi* (kawiarz), w przytomności gościa pijącego kawę, oprawiał drugiemu tępą brzytwą głowę i twarz. Rozpatrzywszy się w okolicy, wynalazłem znacznie krótszą drogę z Pera do Maltepe, przeprawiając się statkiem aż do przedmieścia Bałłat, a ztąd konno lub piechotą. Nakoniec szalone nudy, doprowadzające do mizantropji, jednostajność w jedzeniu, okrutne roje komarów, niebezpieczna okolica i pogłoski o rzezi chrześcjan, wypędziły nas na mieszkanie do Pera. Tam, jak mówiono, miało być, pod obroną ambasad, bezpieczniej. Po czternastu więc dniach pustelniczego życia na wsi, pożegnaliśmy turecko-armeński dom, polecając się przez *terczimana* pamięci zasmuconej Naidy i zamieszkaliśmy na Pera, u jegomościa, który dla pieniędzy gotów był być każdej narodowości i posiadał żonę, która dawniej miała mieć stosunek z byłym konsulem rosyjskim J.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Hausner Otton. O pojedynku. Lwów 1880. Nakładem księgarni Polskiej. Str. 53. (Tom 90 Bibl. Mrówki.)

Maleńka ta książeczka więcej mówi o pojedynku, jak tomowe dzieła o tej materji przez uczonych niemieckich napisane. Zgromadził w niej autor i historją pojedynku i statystyczne dane do pojedynków w różnych wiekach odnoszące się, razem z zestawieniem kar, jakie na pojedynkujących się w różnych czasach i krajach wymierzane były. Co do definicji pojedynku, idzie autor za zdaniem Benthama, który twierdzi, że pojedynek jest uzupełnieniem braków w prawodawstwie — poczem wykazuje te braki i daje wskazówki, w jaki sposób one dałyby się usunąć. Nie mogę odmówić sobie przyjemności zacytowania z dziełka zdania nader słusznego, które, jakkolwiek tylokrotnie w różny sposób powtarzane, nic ze swej nowości i prawdziwości nie straciło: „Dopóki nie znajdzie się dostateczna obrona prawna przeciw obrazom czci, dopóty przebrzmią bez śladu i bez skutku najżyczliwsze deklamacje przeciw zbrodniczości i niedorzeczności pojedynków; dopóki uderzenie w twarz nie sprowadzi na napastnika dotkliwej kary i towarzyskiego potępienia, dopóty uderzony, chociażby teoretycznie był najbardziej przekonanym wrogiem pojedynku, zawsze doń zaapeluje, ponieważ, nieobroniony dostatecznie przez prawo i obyczaj, zmuszonym jest udać się do własnej pomocy.“ Rzadko zdarza się czytać rzecz napisaną tak treściwie a wyczerpująco; rzecz, która wymagała badań skrzętnych, a podaną jest w formie dostępnej bez popisywania się z erudycją; rzecz pisaną z taką werwą i swobodą, że przeczytanie jej sprawia prawdziwe zadowolenie. Zna-

*

komity mówca uwziął się, aby publiczność naszą i krytykę przekonać, że jest równie znakomitym pisarzem, zdradzającym w najmniejszej swojej pracy wysoko inteligentnego ducha i potężny zasób wiedzy.

«Studien über die Judenfrage.« Von einem Geächteten. Lemberg 1880. I. Heft str. 40 — II. Heft str. 22.

Kwestja żydowska, będąca obecnie na porządku dziennym, wywołała i u nas cały szereg broszur i dzieł wyświecających w mniej lub więcej wyczerpujący sposób różne strony tej kwestji. W piśmiennictwie lat ostatnich mamy nawet do zarejestrowania kilka dzieł rzetelnej wartości, a niektóre z nich do rzeczy znakomitych policzyć nam wypada. Do tych ostatnich należy bezsprzecznie studjum społeczne Teofila Merunowicza pt. „Żydzi" i każdy, chcący pisać u nas o kwestji żydowskiej, z dziełem tem liczyć się musi. — Po gruntownej, systematycznej, na datach statystycznych opartej pracy Merunowicza, nie wolno już żadnemu publicyście występować z gołosłownemi frazesami, na efekt obrachowanemi; dziś już nie wolno powtarzać rzeczy znanych; przeżuwać formułek reformatorskich, tylokrotnie pod różnemi postaciami podawanych; dziś wymaga się koniecznie czegoś nowego; czegoś, coby sprawę pchnęło naprzód i dopomogło do ostatecznego załatwienia sprawy piekącej. — Autor, występujący pod przezwiskiem „einen Geächteten" nie obrachował się z siłami i broszura jego nie przynosi nic, ale to kompletnie nic nowego i zaiste trudno nam powiedzieć, jaki był właściwy cel jego, gdy siadał do pisania swych studjów, bo niepodobna przecież na serjo brać jego dążenia, wypowiedzianego na czwartej stronie zeszytu pierwszego w słowach: „Keineswegs beabsichtigen wir damit einer Judenhetze das Wort zureden — im Gegentheil, unser Bestreben wird sein — den „modus vivendi" ausfindig zu machen, um uns in den Israeliten *mächtige Gönner* und Freunde zu gewinnen und *sie für den wahrhaften österreichischen Patriotismus,* der so sehr in ihrem Interesse liegt, *zu erwärmen.*» Szkoda zaiste czernidła drukarskiego do apostołowania podobnych idei i zadanie autora, w powyższych wypowiedziane słowach, byłoby dla nas Polaków poniżającem, gdyby nie było — śmiesznem... Dwa dotąd wydane zeszyty studjów przekonały nas: 1° że autor jest Polakiem, biegle władającym językiem niemieckim; 2° że jest najskrajniejszym ideologiem; 3° że frazeologja jest jego najsilniejszą i jedyną bronią i że w chwili, gdy ma przejść do pozytywnych danych, nie starczy mu własnych spostrzeżeń i posługiwać się zacznie opracowaniami innych autorów — jak to sam zapowiada w końcu drugiego zeszytu swej broszury. Czuć nadto ze studjów tych gorycz osobiście pokrzywdzonego człowieka, która mu nie pozwala patrzeć na rzeczy jasno, i oddaje go w moc chwilowych porywów: to bezgranicznego pessymizmu — to znów marzycielstwa reformatorskiego. Pełno w broszurze dobrych chęci, ale nad to — nic więcej...

W. J. Wdowiszewski.

Kronika Tygodniowa.

(List p. Jana Lama z Morszyna. Odczyt o t. z. starych pannach. Dożywocie dla prof. Niewęgłowskiego. Wydawnictwo Jana Kochanowskiego w Tarnowie.)

* Zaniosło się było na trzydniową słotę, i zaraz pierwszego dnia bystry umysł panny S. spostrzegł, że żyjąc dotychczasowym trybem, tj. rozdzielając się podług płci i usposobienia, na grających wista, na spacerujących gromadkami i na snujących się pojedyńczo tędy i owędy, goście kąpielowi w Morszynie ulegną temu strasznemu nieprzyjacielowi rodzaju ludzkiego, który pospolicie nazywa się nudą. Mądra panieńska główka ułożyła tedy w imieniu niby płci brzydkiej odezwę, zwołującą walne zgromadzenie do wielkiej sali na piętrze, w celu wybrania komitetu „od nudów". Niektórzy z nas wyparli się swoich (podrobionych naturalnie) podpisów — tak jak, nie przymierzając, *Czas* wyparł się w imieniu dr. Smolki jego podpisu na odezwie wzywającej do obchodu 50-letniej rocznicy nocy belwederskiej — inni znowu utrzymywali, że należy poprzednio zawiadomić starostwo, ażeby przysłało komisarza, któryby zgromadzeniu nadał cechę legalną, ale wszystkie te wymówki, zmierzające do przedłużenia popołudniowego wista o cztery dalsze robry, nic nie pomogły, i musieliśmy zgromadzić się, chcąc nie chcąc. Wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, zgromadzenie w dwóch trzecich częściach z płci piękniejszej i... wymowniejszej złożone, jednomyślnie i bez dyskusji wybrało komitet, a ten znowu jednomyślnie wybrał panią J. prezesem, pannę S. sekretarzem, a młodego pana S. czemś nakształt komornika, egzekutora, czy woźnego trybunału. Ten sam komitet powziął natychmiast 7 uchwał, których większa część, dzięki sprężystości prezesa i woźnego, wykonaną została co do joty ku ogólnemu pożytkowi, inne zaś, jako wymagające przygotowań, pozostały w zawieszeniu. Jedna mianowicie, opiewająca, że „amatorowie mają odegrać komedję", rozbiła się o ten szkopuł, że nie było żadnej komedji pod ręką. Komitet uchwalił wprawdzie ze zwykłą szybkością i przytomnością umysłu, że „p. Lam ma napisać komedję", później atoli przyznał słuszność moim przedstawieniom, że gdyby deszcz miał padać tak długo, póki ja nie skończę jednoaktówki, to nastąpiłby niezawodnie nowy potop i amatorowie utonęliby jeszcze przed pierwszą próbą. Zgodzono się tedy, że zamiast komedji, mam napisać odczyt, o dowolnie obranym przedmiocie. Zaledwie atoli wykonałem to polecenie, łaskawe niebo uśmiechnęło się znowu nad Morszynem, komitet zawiesił swoje urzędowanie, i towarzystwo uniknęło szczęśliwie mego odczytu. Nie widzę atoli powodu, dla któregoby go uniknąć miała ta P. T. publiczność, która nie była w Morszynie, i z tej przyczyny posyłam go redakcji „Tygodnia" do łaskawego użytku. Miałem wygłosić, co następuje:

Rzecz o starych pannach. (Tu miałem odchrząknąć i skonstatować w duchu z wewnętrznem zadowoleniem, że szanowne zgromadzenie patrzy wprost na prelegenta, zamiast szukać oczyma kogokolwiek obecnego w sali — i że przeto tytuł mojego wykładu nie zawiera w sobie żadnej osobistej alluzji.) Piękne panie i szanowni panowie! (Oklaski.) Podjąłem się mówić o rzeczy, która wcale nie istnieje i istnieć nie może, tak jak nie istnieje gorzki cukier, ani sucha woda, ani galicyjski mąż stanu, ani w ogóle żadne takie zestawienie, w którem przymiotnik i rzeczownik wykluczają się nawzajem. (Kilka osób uśmiecha się z grzeczności, reszta ziewa ukradkiem.) Przedewszystkiem muszę tu nadmienić, że wyrazu „panna" używamy obecnie w zupełnie innem znaczeniu, aniżeli je miał wówczas, gdy powstał, tj. za czasów pierwotnych piastowskich, kiedy kądziel była bardzo upośledzoną wobec miecza, kiedy w braku synów, majątek szlachecki spadał nie na córki, ale na *stryjów,* tj. na krewnych i współherbowych po mieczu, i kiedy posagi były bardzo małe wskutek tego wszystkiego. Wówczas „żona", która urodziła swemu „panu", tj. mężowi (szemranie w auditorjum, mężczyźni nieśmiało kiwają głowami) potomka płci męzkiej, nabywała prawa do tytułu „panna" i zwyczaj ten utrzymał się do niedawnych czasów, sam bowiem znałem nie jednego starego szlachcica, który do żony mawiał: „moja panno". Nawet Bogarodzicę nazywano „panną", dlatego jedynie, że była matką Chrystusa. Widzimy z tego, iż najpowierzchowniejsze badania filologiczne sprzeciwiają się naszemu pojęciu o „starych pannach", według którego są to osoby niezamężne dojrzałego nieco wieku, pełne różnych śmieszności i wad charakteru. Przepraszam, pojęcie to nie „nasze" — wyrobiło się ono jedynie wskutek częstego bywania w teatrze, odkąd bowiem, nie wiem już który, komedjopisarz pierwszy wymyślił, skomponował, podrobił, „Starą pannę", wszyscy inni idą za jego przykładem, a nasz Bałucki np. nie pojmuje wcale komedji bez tej zmyślonej, szablonowej starej panny. Dodajmy do tego, że śp. Hubertowa nie pojmowała tego urojonego typu inaczej, jak tylko w żółtej chusteczce na szyi albo na głowie i w stroju przedpotopowym — a każdy przyzna, że jeżeli w istocie istnieje gdzie po za sceną istota podobna, to chyba odkopiowała się z komedji, ale z natury takąby nie była.

„Stara panna" dlatego już istnieć nie może, że każdego czasu może zostać młodą mężatką, i niezawodnie nią zostanie, skoro zechce. Wszystkie zaś owe śmieszności i wady, które przypisują starym pannom, albo też, mówiąc poprawniej, pannom które nie wyszły za mąż zaraz po radośnem pożegnaniu z krótką sukienką (stłumiony oklask w jednym kąciku) nie są bynajmniej właściwością osób niezamężnych a uprawnionych do podpisywania dokumentów i t. p. bez pozwolenia opiekuna. Przejdźmy je po kolei.

Tak zwana — t. j. jak powtarzam, fałszywie tak zwana, stara panna, ma mieć pretensję nieuzasadnioną do młodości i piękności. Powiadają, że nigdy nie przyzna się do lat zaczynających się od cyfry większej od dwójki. Być to może, jakkolwiek oświadczam, że nie znałem i nie znam panny, któraby nie wyszła za mąż przed trzydziestym rokiem życia, (chichotanie się i trącanie łokciami w auditorjum) a nawet mojego nieboszczyka ojca matka chrzestna, która porzuciła stan panieński i wyszła za mąż tego karnawału miała dopiero lat 26 i kawałek (oznaki niedowierzania). Sama mi to mówiła, proszę państwa. I nikt nie mógł temu zaprzeczyć, ponieważ nikt nie pamiętał, kiedy się urodziła. Zważmy teraz, czy nie ma mężatek, które od dwudziestu lat mają trzydzieście, i ani tygodnia więcej. Jak mię tu państwo wi-

dzicie, tak byłem pięć razy na trzydziestej rocznicy urodzin pewnej damy, i powtarzałem zawsze ten sam toast:

Najprzystojniej jest niewieście,
Gdy ma pełnych lat trzydzieście;
A do reszty nic nikomu —
— Zdrowie gospodyni domu!

Zbieg ten okoliczności był dla mnie bardzo fortunnym, bo cóżbym począł z moją muzą biedną, gdyby lat miała trzydzieści i jedno? Musiałbym był co roku szukać nowego rymu!

Drugą śmiesznością fałszywie tak zwanych starych panien, jak je opisują w komedjach, ma być pewna natarczywość w podbijaniu serc mężkich, i skłonność do illuzyj, iż podbój się udał. Nie mogę tu użyć argumentu, którym posługiwałem się w pierwszym wypadku, t. j. nie mogę utrzymywać, że mężatki czynią to samo, wiadomo bowiem, że mężatki kochają tylko swoich mężów i przysięgą u ołtarza, wyrzekają się wszelkiej kokieterji.

Nadmienię tylko, iż czasem dla zabawki i figlów zdarza im się bałamucić jednego, dwóch, albo i więcej młodzieńców, ażeby miały co opowiadać mężom i z czego śmiać się wraz z nimi. Dlaczego taka niewinna rozrywka nie ma być dozwoloną osobom niezamężnym, tego nie pojmuję, a z mojej strony nic przeciw niej nie mam, i owszem upraszam, ażeby łaskawe panie raczyły podbijać mię jak najnatarczywiej.

Mówią; po trzecie, że fałszywie tak zwane stare panny są usposobienia zgryźliwego, opryskliwego, obraźliwego itd. Ależ to nie jest winą panieństwa, to jest winą starości! Postawmy zamężną osobę albo wdowę w stosunku pewnej zawisłości od domu, w którym przebywa, albo też odwrotnie, uczyńmy pewną ilość ludzi zawisłą od bogatej a bezdzietnej mężatki albo wdowy, a otrzymamy ten sam rezultat, tj. zgryźliwość, opryskliwość i obraźliwość. Dlaczego imputować wszystko tylko starym pannom?

Zwłaszcza, gdy jak powiedziałem, nie ma ich wcale. Znam tylko dwa typy, które w panieństwie doczekują się podeszłego i sędziwego wieku, ale typów tych nie ma w komedjach, ani w powieściach. Pierwszym z nich jest kobieta urodzona na ciotkę. Dzieckiem jeszcze chuchała na kurczęta, kocięta, szczenięta, pielęgnowała je, tuliła — wszystko co było mniejsze i słabsze od niej obudzało jej sympatję. Gdy się urodziła jej młodsza siostra, ani spostrzeżono w domu, kiedy nieznacznie stała się właściwą jej niańką, boną, nauczycielką, opiekunką. Gdy się wybierano na zabawę, panna Basia myślała tylko o tem, jakby przystroić Anielcię, cieszyła się tylko tem, że Anielci było bardzo do twarzy w różowej sukience, którą ona własną ręką przysposobiła, tem, że Anielcia dużo tańczyła i bawiła się dobrze, że wszystkim się podobała i t. d. Nic dziwnego, że Anielcia wkrótce wyszła za mąż, i że jako zepsute dziecko nie umiała dać sobie radę w domu, zwłaszcza gdy sama już miała potomstwo. Wówczas w pannie Basi odezwał się znowu ten sam cudowny instynkt „matczenia nie będąc matką“, dzieci Anielci stały się jej dziećmi, od rana do wieczora, od wieczora do rana, słychać było w domu tylko powtarzane w różnych odcieniach sopranu i altu to jedno słowo: ciociu! Panna Basia dla wszystkich krewnych, przyjaciół i znajomych stała się „ciocią Basią“, *de facto* zaś była matką swoich siostrzeńców i siostrzenic. Ona to, nie znosząca tytoniu, wytłumaczyła szwagrowi, że to nie Ferduś palił zakazane mu surowo cygaro, ale „ja, bo mię zęby bolały.“ Ona z oszczędności swoich płaciła długi Ferdusia, gdy był na uniwersytecie. Jej Malwinka wyspowiadała się natychmiast, że jej się pan August bardzo podobał, i że ją jakoś dziwnie znacząco ścisnął za rączkę. Ona szyła wyprawę dla Malwinki, i w rok później matczyła znowu nowonarodzonemu jej synkowi, potem drugiemu, trzeciemu, i wszystkim wnukom i prawnukom Anielci, i była zawsze dla wszystkich „ciocią Basią“ i nikomu nigdy na myśl nie przyszło nazwać ją starą panną, choć miała lat siedmdziesiąt z górą, gdy umarła.

Drugi typ znam z czasów dość dawnych i bardzo ciężkich, bo z przed roku 1848. Nazwę ją Adelą. Kochała „go“, ale poszedł do Węgier, i zginął. Płakała i była smutną, ale smutek jej przemienił się z czasem, z długim czasem, nie w gorycz, jak u innych, ale w słodycz i spokój umysłu. Z melancholijnym półuśmiechem odrzuciła oświadczyny kilku konkurentów, który się zgłaszali, chociaż nie miała majątku. Nie żałowała tego nigdy, a raz tylko co roku płakała — i płacze — w rocznicę bitwy pod Kapolną. Zresztą dziś, po latach przeszło trzydziestu, pożądaną jest w każdem towarzystwie, wyrywają ją sobie z domu do domu, ma do wyboru trzydzieście rodzin, wśród których może zamieszkać, i w które wnosi spokój, swobodę, i pewną jakąś anielską wesołość. Panna Adela przyznaje się do swoich lat pięćdziesięciu, które tej zimy skończyła, a przecież nikomu ani w głowie nazwać ją starą panną. Ergo, nie ma na świecie starych panien, są tylko anioły „w pączku“ i anioły w stanie rozkwitu. Skończyłem.

(Ze wszystkich okolic sali daje się słyszeć dość wyraźne chrapanie, nagle atoli towarzystwo wybucha w burzę oklasków, a prezes w imieniu komitetu dziękuje prelegentowi, iż się tak krótko i zwięźle sprawił).

Jan Lam.

* * *

Pisaliśmy już o smutnem położeniu naszego uczonego matematyka G. H. Niewęgłowskiego, który po śmierci protektora swego Jana Działyńskiego, pozostał bez środków do życia i dla którego zbierane są składki tak u nas jak i w Krongresówce.

Ażeby jednak pomoc, jaką w ten sposób kraj niesie zasłużonemu mężowi, uczynić szlachetniejszą a zarazem skuteczną, jeden z uczniów Niewęgłowskiego, p. Ant. Aug. Eger, w ostatnim numerze *Ekonomisty* zaprojektował: ażeby drogą publicznej składki zebrać kapitalik, od którego procent mógłby posłużyć na zapewnienie dożywotniej pensji Niewęgłowskiemu, w zamian za rękopism jego „Geometrji analitycznej“ którąby należało wydrukować. Obliczono, że ażeby otrzymać roczną rentę 1000 Rs., która nie da uczuć braku, ale jest konieczną na skromne w Paryżu utrzymanie, potrzeba zebrać kapitał 6170 Rs. i ten oddać jednemu z Towarzystw ubezpieczeń. Projekt ten prasa warszawska w zasadzie przyjęła i rozpoczęła już zbieranie składek *na dożywocie dla prof. Niewęgłowskiego.* Pominąwszy kwestję: o ile praktycznem byłoby oddanie zebranego kapitału Towarzystwu Ubezpieczeń na przepadłe — co zresztą ostatecznie nie jest jeszcze zadecydowanem — sam cel ustanowienia dla uczonego starca dożywotniej renty jest dobry, i sądzimy, że i nasza publiczność nie pozostanie dlań obojętną.

* * *

P. Adam Kaczurba, wydawca i redaktor wychodzącej w Tarnowie *Bibljoteki Uniwersalnej,* wydrukował w zeszycie lipcowym odezwę do prenumeratorów, którą prawie całą poświęcił „Tygodniowi Polskiemu“ — posądzając nas o nieprzychylność dla siebie. Przykrość to nam sprawiło; tem większą, że szan. wydawca, w odezwie owej wypowiedział bardzo wiele, tylko nie to właśnie o co nam chodziło. I tak, powiada p. Kaczurba, że „Tydzień Polski“ go potępia i formalnie mu rozkazuje cofnąć się z zamierzonem wydawnictwem pism Jana Kochanowskiego, za 2 złr. 50 ct. — a nie mówi dla czego.

Owoż prosimy pana Kaczurbę o uważne przeczytanie artykułu naszego w Nr. 8. „Tygodnia, z r. b., w którym radzimy mu odstąpić od tego wydawnictwa głównie dla tego, że ono nie może wypaść poprawnie, a nie ma potrzeby popularyzowania Kochanowskiego z błędami, zwłaszcza w obec zamierzonego w Warszawie wydania jubileuszowego, opatrzonego komentarzami i o ile wiemy jeszcze tańszego.

W Warszawie, pracę nad tem wydawnictwem, a mianowicie nad oczyszczeniem języka Kochanowskiego z mnóstwa błędów jakie się wkradły do wszystkich dotychczasowych wydań — podjęło *dwudziestu kilku* uczonych lingwistów i literatów, można więc mieć niemal pewność, że Kochanowski z ich rąk wyjdzie nieskażony; szanowny zaś wydawca B. U. przy najlepszych chęciach zadaniu takiemu podołać nie jest wstanie i można być przekonanym, że w jego książce wiekopomny poeta będzie mocno pokaleczony; a jeżeli o popularyzowanie takiego chodzi, to mamy wydanie warszawskie Breslauera jeszcze tańsze bo za złr. 1 cnt. 80

Oto są powody, dla których jesteśmy przeciwni wydawaniu Kochanowskiego w Tarnowie.

Na zakończenie, gdy Szan. Wydawca B. U. nazywa nas Kassandrą, przepowiadającą upadek najpopularniejszej polskiej książce (ma to być Tarnowska Bibljoteka Uniwersalna!), to my nawzajem zwracamy jego uwagę, jako nieprzystojnie jest, nie zrobiwszy jeszcze dotąd nic, tak wiele mówić o własnych zasługach. O najlepszych chęciach p. Kaczurby nie wątpimy, lecz cóż to jest nareszcie ta Bibljoteka Uniwersalna? no, powiedzmy sobie otwarcie: najzwyczajniejszy przedruk, i to po części takich n. p. pism jak Słowackiego, których obecnie w obiegu jest aż 5 wydań, a z tych dwa bardzo tanie i popularne. Quousque tandem...?

Z NOWEGO YORKU *)

Korespondenci ze Stanów Zjednoczonych wspominają często z ubolewaniem o braku takiej opieki nad wychodźtwem słowiańskiem do Ame-

*) Niniejszy artykuł powtarzamy za pismami warszawskiemi, jako rzecz obchodzącą w wysokim stopniu cały ogół Polski. (Przyp. Red.).

ryki przybywającem, jaką posiadają wszystkie prawie narody, utrzymujące w t. z. Castle Garden, czyli centralnych koszarach nowojorskich dla emigrantów przeznaczonych, swoich komisarzy.

Z wyborem i opłatą takich urzędników nie może mieć żadna dyplomacja nic wspólnego. Jest to sprawa czysto wewnętrzna amerykańska.

Każda narodowość liczniejsza w Ameryce, honor swój szanująca i rozumna, sama wzięła inicjatywę w wyborze takich opiekunów i wynagradza ich z funduszów składkowych, albowiem wszystkie się przekonały, że komisarze tego rodzaju są nietylko dobrodziejami przybyszów, ale iż kontrola nad okrętami i nad całym systemem emigracyjnym reguluje i hamuje nadmierne wychodźctwo z ziemi ojczystej.

Jestto smutny fakt, że skutkiem właściwego amerykańskim Polakom braku łączności, głów organizacyjnych i uszanowania dla inicjatorów jakiegokolwiek użytecznego projektu, oni jedni na taką opiekę zdobyć się nie umieli i że wspaniałomyślność cudzoziemców wyręczać ich musi.

Zauważywszy potrzebę opieki nad coraz liczniej przybywającym tutaj ludem naiwnym, niewładającym żadnym językiem szerszego świata, nieporadniejszym od każdego, znanego jej żywiołu t. z. komisja emigracyjna stanu New-York, zarządzająca koszarami Castle Garden, raczyła przychylić się do prośby pewnych osób dobrej woli i wzięła sama inicjatywę w tej sprawie, instalując w koszarach urzędnika polaka, wyłącznie dla swych rodaków przeznaczonego, a co więcej, wyznaczając ze swojej szkatuły 1000—1200 rocznie na jego utrzymanie.

Żadna narodowość nigdy ani potrzebowała ani szukała takiej pomocy wyjątkowej, a szczodrość amerykańska pochodzi z bezstronnego rozpatrzenia się w smutnych stosunkach prowincyj pruskich, z których przeważna część zaniedbanych wychodźców pochodzi.

Ta łaska zasługuje na tem większe uznanie i wdzięczność, że nie brakowało wpływów silnych, do zwichnięcia zamiaru komisji skierowanych.

W Ameryce żyje 6 miljonów patrjotów niemieckich, którym samo uznanie statystyczne żywiołów słowiańskich bywa solą w oku i którzy wspólnemi siłami o to się starają, ażeby wszyscy Polacy z pruskich prowincyj pochodzący jako synowie Deutschlandu byli uważani,

Wolno też przypuszczać, że dyplomacja także miała coś do powiedzenia komisji. Szczęściem, Yankesy nie zwykli się na takie wpływy oglądać, jeżeli się raz w nich uczucie wyrobiło, iż zamierzona akcja jest sprawiedliwą i potrzebną.

Jeszcze piękniej przedstawia się rezolucja komisji, ażeby rzeczonego urzędnika nie mianować despotycznie z własnej ręki, ale wybór jego zostawić osiadłym w New-Yorku i w jego okolicy obywatelom polskiego pochodzenia, którzy będą zwołani na walny meeting, w celu przedstawienia kandydata, odpowiadającego wysokim wymaganiom komisyi tak nieskazitelnym charakterem, jak też biegłością w dwóch potrzebnych językach, oraz znajomością europejskich i amerykańskich stosunków.

Zaręczywszy wierzytelność tego bezprzykładnego w innych krajach faktu, nie rozwodzimy się nad jego charakterem. Stał on się w tej Ameryce, o której cywilizacji czytamy różne bzdurstwa, z pod piór płytkich obserwatorów wychodzące, ale prawdy niewiele się dowiadujemy, bo pisarz, co by prawdę pisał, naraziłby się na potępienie ze strony europejskich przesądów. Kłamać wygodniej i bezpieczniej w tym razie, aniżeli prawdę szanować.

Dałby Bóg, żeby wezwani odpowiedzieli w sposób równie szlachetny zacnym wymaganiom komisji, jak je postanowiono i odpowiednią osobę wybrali. Dotąd trudno było człowiekowi prawdę miłującemu chwalić się z rodaków, którzy się do urzędów amerykańskich dostali.

Okazywali oni często i za często niestety nie mało zdolności, połączonej ze smutnym brakiem charakteru. I tak, niedawno z okolicy New-Yorku ulotnił się pewien jegomość, nie bez trudu na ważny i korzystny urząd podszeryfa wybrany, a z nim ulotniło się dużo amerykańskich dolarów. Takie wypadeczki nie pomogły innym kandydatom tegoż pochodzenia w ich zabiegach o posady urzędowe.

Pensja, ofiarowana przyszłemu opiekunowi, jest mała, jak na oficjalną Amerykę, gdzie strażakom w stolicy i listonoszom 100 dolarów płacą miesięcznie, ale przecież nie brak do niej kandydatów, których przedwczesne intrygi i zabiegi byłyby doprawdy zabawne, gdyby o rzecz mniej ważną chodziło.

Widząc ludzi, jedynie tylko w karczemnej zwadzie i w tumanieniu jeszcze głupszych ziomków biegłych, starających się z widokiem powodzenia o godność w części reprezentacyjną, umyślnie dla najzacniejszego stworzoną, wypada prawie zwątpić w zdrowy rozum tłumu, co lepszych przedstawicieli uparcie odpycha, i drżeć o następstwa szlachetnego a niespodziewanego daru amerykańskiego, podyktowanego uczuciem, nad bezstronność szlachetniejszem.

Postanowienie komisji przyszło w sam czas, ażeby powetować przykry zawód, zwichnięciem pewnych filadelfijskich planów sprawiony. Trzeba bowiem wiedzieć, że w mieście bratniej miłości poruszył myśl opieki nad wychodźtwem poznańsko-galicyjskiem, czcigodny p. Juljusz Andrzejkowicz, w miłej pamięci tych wszystkich współrodaków zachowany, co wystawę filadelfijską odwiedzili.

Dorobiwszy się fortuny, zacny ten i energiczny człowiek postanowił się polepszeniu doli swoich ziomków poświęcić i w tym celu usiłował zawiązać zjednoczenie bez politycznego charakteru, któreby się budowaniem domów polskich w New-Yorku, w Chicago i Filadalfji zajęło, tudzież opieki w Castle Garden nad braćmi się podjęło.

Zamiar ten napotkał zaraz opozycję pewnego, bardzo silnego i wpływowego żywiołu, który objął w monopol tworzenie tak zwanych kolonij polskich w pewnych częściach Teksasu, Nebraski itd., z tych kolonij rodzaj krów dojnych sobie tworząc.

Nie obwijając rzeczy w bawełnę powiedzmy, że tym żywiołem jest część amerykańskiej filji zakonu Zmartwychwstańców, wydająca w Chicago pod maską służby Bożej, t. z. *Gazetę katolicką*.

Wszyscy ludzie bezstronni, co kiedykolwiek tę gazetę przejrzeli, dowodnie się już przekonali, że korzystny jej stan finansowy pochodzi z ogłoszeń i z reklam ajentów emigracyjnych, okrętów hamburgskich, rzezie herodowe na morzu sprawiających, spekulantów amerykańskich, posiadających puste ziemie na sprzedaż i tym podobnych niegodziwców.

Redaktor jej objął niedawno kierownictwo onej wielkiej kolonji w Nebrasce, której emisarjusze porządnych gospodarzy do sprzedania ziemi Niemcom i przesiedlenia się na zachodnie, szarańczą nawiedzane prerje skłonili.

Jedyne to pismo polskie w Ameryce, otwarcie emigrację chwalące i do niej podżegające.

Są to fakta znane wszystkim rodakom w Ameryce osiadłym, często komentowane ustnie i udowodnione, oraz w prasie amerykańskiej stokrotnie przewietrzane. Szybkie bogacenie się twórców tej kolonji, jakoteż ich plany na przyszłość, nie są także dla nikogo tajemnicą.

Oni to więc, lękając się, ażeby opieka przez pana Andrzejkowicza organizowana emigracji chłopskiej nie powstrzymała i przybywających na inne korzystniejsze drogi nie popchnęła, skierowali niezwłocznie niemałe swoje wpływy, stosunki i zdolności ku zniszczeniu jego pracy mozolnej w zarodku, a usiłowania ich po części uwieńczył pomyślny skutek, bo z projektowanych domów ochrony i opieki jeden tylko powstanie w Filadelfji.

Na szczęście dla biednego ludu a na przekorę tym co go bałamucą, postanowienie komisji w Castle-Garden wyręczy dalsze plany p. Andrzejkowicza.

Jeśli wybrany opiekun będzie człowiekiem wolnym od wszelkich widoków osobistej korzyści, z rzekomego kolonizowania po przeróżnych piekłach wynikającej, będzie jego i komisję zarządzającą dziesiątki tysięcy braci błogosławiło.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Dowiadujemy się, że wydawca albumu rycin polskich, p. Józef Łaski, zajmuje się obecnie zbieraniem sobieścianów, czyli wszelkich monograficznych zabytków, odnoszących się do Jana Sobieskiego.

Osoby zatem, posiadające wszelkie piękniejsze ryciny i inne tego rodzaju zabytki ze wspomnionej epoki, zechcą łaskawie nadsyłać takowe pod adresem p. Łaskiego w Warszawie, ulica Mazowiecka nr. 11, dla zdjęcia z nich fotografij. Rzecz to ogólnego użytku, a więc nie wątpimy, że znajdzie chętny współudział w ludziach dobrej woli.

*** W Paryżu wyszła niedawno praca dra Ant. Małeckiego: „Grammaire historique comparative de la langue polonaise", która była poprzednio przedstawioną akademji francuskiej i według wzmianki w „Revue critique d'histoire et de littérature" zyskała tam powszechne uznanie.

*** Wyszedł z druku: „Przegląd historyczny wyrobu i konsumcji piw krajowych w Warszawie" przez p. Franciszka Drewnowskiego, emeryta służby skarbowej, znanego specjalistę, skreślony.

*** W dniu 26. lipca 1880 r. prawo wydawnictwa warszawskiego dwutygodnika „Niwa" przeszło od p. Mścisława Godlewskiego do p. Stanisława Ostrowskiego.

Dnia 19. lipca dr. filoz. Kazimierz Plebański został zatwierdzony w obowiązkach redaktora „Bibljoteki Warszawskiej".

*** Czasopismo „Lumir" donosi o wyjściu z druku nowego poszytu poezyj Słowackiego, w tłumaczeniu czeskiem. Zbiór obecny obejmuje drobniejsze utwory naszego poety.

Przekładu dokonał Mokry z wielkiem powodzeniem i przejęciem się duchem oryginału.

Sprawozdawca czeski wyraża się o polskim poecie z głębokiem uznaniem, czyniąc wniosek, iż przyswojenie wszystkich jego prac, byłoby cennym dla miejscowej literatury nabytkiem.

*** Czasopismo czeskie „Koleda" umieściło w przekładzie Frycza dwa wyjątki z „Ziarna", a mianowicie: „Uprostřed bouure" Zygmunta Sarneckiego, oraz „On a ona" Zygmunta Glogera.

*** „Bibljoteka Warszawska" w zeszycie na miesiąc sierpień b. r. zawiera: 1. Obraz historyczny cywilizacji społeczeństwa polskiego w wieku XII. Przez dra Stanisława Smolkę. 2. Luiz Camoens i jego dzieło. (Notatka biograficzno-literacka.) Przez Kazimierza Kaszewskiego. 3. Siostra miłosierdzia. Powieść przez Emila Castelara. Tom I. (Tłumaczyła z hiszpańskiego A. Gorajska.) 4. Korespondencja Redakcji Bibljoteki Warszawskiej. Zjazd historyczny imienia Długosza w Krakowie, w dniach 18 — 21 maja 1880 r. Przez J. I. Kraszewskiego. 5. Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego. Gramatyka historyczno - porównawcza języka polskiego. Przez dra Antoniego Maleckiego. Lwów, 1879 r. 2 tomy w 8ce (str. 490 i 546). Przez Ad. Ant. Kryńskiego. Archiwum spraw zagranicznych francuskie do dziejów Jana III. Tom I. Opracował dr Kazimierz Waliszewski. Kraków. 1879 r. Przez T. 6. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne.

*** „Gazeta rolnicza" w nrze 33. z r. b. zawiera: 1. Służebności, przez J. R. Wilanda. 2. Nawozy sztuczne i ich użycie, przez dra A. Sempołowskiego. 3. Negretty czy Rambouillety? przez Aleksandra Trylskiego. 4. Co sprzyja epidemji i jak się od niej bronić? przez Jana z Lim—ny. 5. Listy z Francji, przez Nemo. 6. Przegląd polityczny. 7. Wiadomości bieżące. 8. Rozmaitości. 9. Bibljografja i krytyka. 10. Kurjer rolniczy. 11. Odcinek zawiera: Z różnych stron świata, przez Faustyna Bicza.

Nauka.

*** Poznańskie i toruńskie Towarzystwo Przyjaciół nauk na berlińskim kongresie antropologicznym i starożytniczym, reprezentują pp. Jażdżewski i Feldmanowski.

*** W Genni w dniach od 15 do 23. września odbywać się będą narady dziewiątego zgromadzenia lekarzy włoskich.

*** Oświetlenie wnętrza ciała elektrycznością. Na posiedzeniu niemieckiego Stowarzyszenia elektrotechnicznego w Berlinie, pod przewodnictwem dra Stephana, dyrektora generalnego poczt, robione były ciekawe doświadczenia z nowemi przyrządami elektrycznemi. Przez wprowadzenie zwojów spiralnych platynowych, przytwierdzonych do odpowiednich reflektorów, do jam ciała zwierzęcego, oświetlano te jamy tak, że wiele szczegółów niewidzialnych budowy wyraźnemi się stawało. Za pomocą zgłąbnika (sondy) wprowadzono do żołądka żywego szczupaka drut platynowy, umieszczony w szklannej rurce. Jak tylko strumień elektryczny przebiegł po drucie, natychmiast ryba stała się zupełnie przezroczystą do tego stopnia, że gołem okiem widzieć można było położenie i ruchy wszystkich organów wewnętrznych. Podczas doświadczenia szczupak był zupełnie spokojny, a kiedy przyrząd elektryczny wyjęto mu z żołądka, natychmiast pływać zaczął.

Sztuki Piękne.

*** „Hołd pruski", obraz, nad którym pracuje obecnie Matejko, ma być wkrótce gotowy.

*** Na krakowską wystawę Towarzystwa sztuk pięknych przybyły: Kossaka Jul. „Lisowczyk z r. 1662", „Trójka bałagulska"; W. Krycińskiego „Kobieta z okolic Rzymu"; W. Koniuszki „Żyd, czytający modlitwę"; Brudnego „Chłopiec"; Ertla „Dziewczę", studjum gipsowe; Benedyktowicza „Na rozstajnych drogach", „Zmrok"; Bieńkiewicza „Ścięcie świętego Jana"; Gramatyki „Góral".

*** Na wystawę warszawskiego Towar. zach. sztuk pięknych przybyły: Romera Edwarda „Stacja kolei żelaznej"; W. Eliasza „Politycy": Strzałeckiego Wandalina „Powrót pod rodzinną strzechę" i „Odpust w małem miasteczku"; Kostrzewskiego Fr. „Pierwsza próba jazdy"; Pilatego Henryka dwa obrazy „Jeźdźcy".

*** W Zurychu otwarto muzeum Semper'a; zawiera ono większą część oryginalnych rysunków genjalnego architekty.

*** Dzienniki paryskie donoszą, iż sławna śpiewaczka pani Nilson zamierza na zawsze opuścić scenę.

*** Wiktor Massé, znany kompozytor francuski, ukończył partyturę opery: „Noc Kleopatry".

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Węgierskie muzeum narodowe otrzymało od hrabiny Erdödy-Raczyńskiej wspaniały dar, pochodzący z bogatych zbiorów zmarłego jej męża, namiestnika Fiumy, hr. Jana Erdödy.

Jestto karabela Jana Sobieskiego, z prawdziwej stali damasceńskiej misternie wyrobiona, ze złotym herbem rodzinnym na klindze.

Po obu jej stronach wiją się napisy: *„Cave a falsis amicis, salvabo te ab inimicis"* (strzeż się fałszywych przyjaciół, a ja cię obronię od nieprzyjaciół), tudzież: *„Haec meta laborum"* (oto cel pracy).

Rękojeść z czystego złota, z mnóstwem artystycznych ozdób.

Najkosztowniejszym jest wszakże olbrzymi guz kryształowy, oprawny w 27 djamentów.

Karabela ta przechowaną zostanie w osobnej szafie.

*** Towarzystwo polytechników polskich w Monachjum z przyczyny małej liczby członków w dniu 17. lipca r. b. rozwiązanem zostało; cały zaś majątek tegoż, według statutów przeszedł na własność Towarzystwa bratniej pomocy słuchaczów politechniki we Lwowie.

*** Berliński centralny komitet otrzymał z Valparaiso i Melbourne 2483 marek dla dotkniętych głodem górnoszlązaków; ogółem na ten cel wpłynęło do komitetu 385 000 marek.

*** Sprawa zaprowadzenia w Rosji, a z nią i w Kongresówce systematu metrycznego, weszła na drogę bliższą urzeczywistnienia.

Ustanowiona ad hoc komisja, oświadczyła się za jak najprędszem zaprowadzeniem, ale tylko miar i wag metrycznych — systemat zaś monetarny ma być pozostawiony bez zmiany.

Nadto miary i wagi nowe będą wprowadzane stopniowo, tak, że przez lat kilka używanie ich będzie nie obowiązkowe lecz jedynie dobrowolne.

*** W Królestwie kongresowem, ma być od 1. stycznia zaprowadzone myto na drogach bitych. Odległość rogatek jedna od drugiej wynosić będzie, tak jak w Prusach 7 kilometrów. Jest to jedna z najpotworniejszych niedogodności komunikacyjnych, która i nas trapi niestety.

*** Staraniem węgierskiego Towarzystwa Karpackiego będzie wybudowane w r. p. przy jeziorze Rybiem, czyli Morskiem Oku, w Tatrach, obszerne schronisko dla turystów. Schronisko to ma się znajdować na terytorjum węgierskiem i obejmie kilka większych izb, oraz dobrze zaopatrzoną restaurację. Koszta urządzenia schroniska wziął na siebie książę Hohenloe, obecny właściciel Jaworzyny węgierskiej. Głównym powodem do wystawienia oddzielnego schroniska jest ta okoliczność, że istniejący tam szałas Towarzystwa Tatrzańskiego, zbyt szczupły i niedogodny, często nie może pomieścić licznych turystów z Węgier; a ponieważ pierwszeństwo w korzystaniu z noclegów mają tylko członkowie Towarzystwa Tatrzańskiego, przeto praktyczniejsi Węgrzy urządzają schronisko, w którem bezwzględnie każdy turysta będzie mógł przenocować. Wydział Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego, odznaczający się energją i czynnością, rozpoczął już na dobre roboty w Tatrach, aby piękniejsze partje uprzystępnić dla turystów; między innemi zrobiono drogę pomiędzy jeziorem Szczyrbskiem a Popradzkiem, rozpoczęto budowę nowego szałasu przy jeziorze Ignacowem, naprawiono drogę, prowadzącą pod Krywań. Prócz tego postanowiono rozsadzić skałę, zawadzającą przy wejściu na Rysy, a niebezpieczne miejsca przy wdrapywaniu się na szczyt Gerlachowski, zaopatrzyć w żelazne klamry. Mając tak ułatwione zwiedzanie Tatr od strony węgierskiej, liczni turyści ze wszech stron przybywają koleją, aby podziwiać wspaniałe krajobrazy. Szmeks stary i nowy, Poprad, Kesmark przyciągają mnóstwo obcych, gdyż z tych miejscowości można z łatwością urządzać wycieczki, a oprócz tego, odznaczają się one (z wyjątkiem pierwszej) tanim pobytem, wszelką wygodą i doskonałem utrzymaniem, czego o galicyjskiem Podhalu Tatrzańskiem powiedzieć nie można.

*** W Gracu w dniu 1szym września rozpocznie się kongres szachowy, którego trwanie obliczono na dni ośm.

*** Serajewskie gimnazjum w pierwszym roku swego istnienia liczyło 79 uczniów, w tej liczbie 28 obrządku łacińskiego, 18 prawosławnych, 18 izraelitów, 12 mahometan i 3 ewangelików. Nauczycieli wykładało 9. Do przedmiotów wykładowych należał też język turecki, arabski i perski. Dla mahometan urządzono osobne wykłady religji.

*** Według danych urzędowych, ludność Wschodniej Rumelji wynosi 815,513 dusz. Pomiędzy tymi jest 573.231 Bulgarów, 176.759 Turków, 42.516 Greków, 19.524 Cyganów, 4177 Izraelitów i 1306 Armeńczyków. Miasto Filippopol liczy 24,503 mieszkańców.

*** Togoroczny połów śledzi na wybrzeżach szkockich dał niezmiernie pomyślne rezultaty.

*** W Prusach Zachodnich budują się koleje lokalne z Chojnic do Laskowic, z Kościerzyny do Praust, do Hohenstein, z Jabłonowa do Brodnicy, z Nakła do Chojnic.

*** Do Pragi przybył student Borke na welocypedzie z Cambridge. Podróż z Hamburga odbył on w czterech dniach. Z Berlina przez Hallę, Lipsk i Drezno, w ciągu dwóch dni stanął on w Pradze. Z Pragi przez Pilzno pojechał do Monachjum.

Odkrycia i wynalazki.

*** W Warszawie, w pralni amerykańskiej przy ulicy Leszno, odbywano w tych dniach próbę z nową maszyną do prania.

Maszyna ta jest ulepszoną podług wzoru zagranicznego, przez właściciela fabryki wyrobów galanteryjno-stolarskich, pod firmą E. Wodzyński w Częstochowie, i w tejże fabryce skonstruowaną.

Składa się ona z drewnianego pudła o ścianach karbowanych, w którem znajduje się poruszany korbą z zewnątrz płaski krąg drewniany, pokryty również karbami.

Otóż w pudło to kładzie się brudną bieliznę, pomydloną, i wlewa mydło rozrobione w wodzie, poczem zaczyna się poruszać korbą.

Krąg wprawiony w ruch porusza bieliznę, która w ten sposób się pierze.

Podczas próby, zupełnie brudna bielizna, po trzech minutach pozostawania w skrzyni, była prawie czystą.

O ile więc z tej próby sądzić można, „pralnia" może oddać w gospodarstwie domowem usługi.

Przy „pralni" znajduje się żelazna wyżymaczka.

Handel i przemysł.

Maszyna do szycia. Chcąc dać wyobrażenie o potężnym rozwoju tego wynalazku, który zastępując zmudną pracę rąk, ogarnął niemal wszystkie gałęzie przemysłu rzemieślniczego, wyjmujemy z niedawno wydanej statystyki domu Singera w Ameryce (The Singer Manufakturing Company New-York) bardzo zajmujące szczegóły.

Znajdujemy tam cyfry, imponujące ogromem nawet Amerykanom. Zakład Singera składa się z czterych fabryk, dających zatrudnienie 7500 robotnikom. Największa znajduje się w Elisabethport koło Nowego Yorku, a zajmuje 30 morgów ziemi.

Na wolnej od budynków przestrzeni pędzi kolej żeladna fabryki, do głównej stacji. Główny budynek ma 6 piętr, z których dwa znajdują się pod ziemią. Front jego ma 70 metrów długości, front głównego skrzydła 310. Inne dwa budynki mają po 50 metrów długości. W dwóch budynkach umieszczonych opodal znajdują się kuźnie, gisernie i inne pracownie. Cztery górne piętra głównego budynku podzielone są na sale, poświęcone wyłącznie wyrobowi maszyn do szycia. Na dole ustawiono dwie maszyny parowe, każda o sile 80 koni.

W salach najwyżej położonych wyrabiają części składowe maszyn, mianowicie śruby, sprężyny, igły, czółenka itd.; zaś w lokalnościach środkowych zestawiają się ostatecznie maszyny, przyczem zajęta jest największa ilość robotników.

Fabryka Singera wyrabia tygodniowo 5000 do 6000 maszyn gotowych. W pierwszym budynku, przylegającym do skrzydła głównego założono osobną fabrykę igieł na wielką skalę. Dla pędzenia maszyn stolarskich, kowalskich, giserskich, itd. ustawiono cztery maszyny parowe, każda o sile 60—80 koni! Podobnie też, chociaż w mniejszych rozmiarach, są urządzone inne trzy fabryki firmy. Prócz tego posiada kompanja w Glasgowie w Szkocji fabrykę, zatrudniającą 1500 robotników, która ściśle według nowojorskich modelów wyrabia maszyny do szycia dla targów angielskich, a w samym Nowym Yorku fabrykę jedwabiu, w której pracuje 60 robotników.

Pensje, które dyrekcja zakładu wypłaca rocznie urzędnikom i robotnikom, wynoszą 2,200.000 dolarów (przeszło 5,875.000 złr.) Prócz tego zatrudnia fabryka w samych Stanach Zjednoczonych 1800 podróżujących agentów. Status. zakładu wykazuje 40.000 osób. Dla zbytu maszyn w Europie założono trzy główne ajencje, z których najgłówniejsza dla północnej i środkowej Europy ma siedzibę w Hamburgu.

Do zakresu tej agencji należą następujące filje: Altona, Amsterdam, Arnheim, Berlin, Brunswik, Bremen, Kassel, Crefeld, Gdańsk, Drezno, Duesseldorf, Elberfeld, Erfurt, Frankfurt nad Odrą, Frankfurt nad Menem, Gera, Gothenburg, Gravenhage, Graz, Greifswald, Groeningen, Igława, Kijów, Królewiec, Lenwarder, Lipsk, Linz, Lubeka, Lwów, Maastricht, Magdeburg, Manheim, Memel, Middelburg, Moskwa, Nowy Ruppin, Osnabruek, Peszt, Petersburg, Poznań, Poczdam, Praga, Pilzno, Regensburg, Reichenberg, Rosya, Rostock, Rotterdam, Schweinfort, Stargard, Sztokholm, Stralzund, Strasburg, Stuttgart, Tylża, Ulm, Utrecht, Warszawa, Wiedeń Worms, Wrocław i Zwolle. Szereg tych nazwisk dowodzi, jak okazały jest rozwój fabryki amerykańskiej Singera. Statystyczny wykaz, z którego powyższe daty czerpiemy, podaje także cyfry, dotyczące zbytu maszyn. W roku 1861 sprzedał Singer 500 sztuk, w roku 1876 — 262,316!

Druga z rzędu firma amerykańska, Wheeler & Wilson zbyła w r. 1876 108.996 maszyn, zatem o wiele niżej połowy. Daty te urzędownie stwierdzone, dają nam pojęcie o rozmiarach przemysłu amerykańskiego i tłumaczą owe miljonowe dochody mocarzy tamtejszego targu.

ROZMAITOŚCI.

Przykłady zadziwiające pamięci.

Przyznać potrzeba, że niektóre zakłady w Stanach zjednoczonych przedstawiają pewne odrębności, właściwe zresztą w ogóle młodej Ameryce, które mogą dziwić słusznie mieszkańców Europy. Tak się rzecz ma z hotelami naprzykład. Bardzo zwyczajnym w wielu z nich jest faktem, że współcześnie w jednej sali obiaduje kilkaset osób. Kapelusze laski, paletoty i t. p. zostawiają się przy wejściu u służącego przeznaczonego do dozoru nad niemi. Otóż, służący ów zwykle nie układa ich, nie porządkuje w pewien prawidłowy sposób, nie daje na nie marek, ani numerów, a jednakże każdą rzecz zwraca istotnemu jej właścicielowi skoro ten wychodzi z sali. Przytomność umysłu służącego i dzielność jego pamięci często rzeczywiście jest godna podziwu, mianowicie ze względu na ilość powierzonych mu kapeluszy. Najciekawszy w tym względzie przykład przedstawia służący w hotelu*piątej alei (Fifth Avenue) w Nowym-Yorku. Siedząc w przedpokoju po kilkanaście godzin dziennie, miewa on niekiedy pod swoim dozorem po pięćset kapeluszy jednocześnie. Większa ich część należy do gości, których widzi po raz pierwszy, a którzy nieustannie się zmieniają, bo jedni przychodzą a drudzy wychodzą. Tymczasem rzadko się zdarza ażeby służący zawahał się na chwilę przy oddawaniu kapelusza, a nie mylił się nigdy. Utrzymuje on, że odbierając kapelusz z rąk gościa, tworzy sobie w myśli obraz twarzy właściciela na dnie kapelusza i że następnie spojrzawszy weń tylko, natychmiast przypomina go sobie.

Ciekawą byłoby rzeczą sprawdzenie, do jakiego stopnia zdolność ta dojśćby mogła u człowieka, któryby chciał umyślnie wykształcić ją w sobie. Ponieważ wiele z naszych zwykłych przypomnień nie zasadza się na wrażeniu wzrokowem, przynajmniej świadomem, zdaje się więc prawdopodobnem, że znaczna część przykładów niezwykłej pamięci polega właśnie na wyjątkowej zdolności tworzenia i zatrzymywania tych właśnie wrażeń optycznych. Ciekawe badania p. Gattona dowodzą przynajmniej, że tak się dzieje przy rachowaniu pamięciowem. Rozmaite metody mnemoniczne również opierają się na zapatrywaniu poglądowem, na słusznem odtwarzaniu w umyśle raz widzianych przedmiotów, a powyższy fakt z kapeluszami do tejże należy kategorji.

Tu również odnieść wypada ową zdolność grania w szachy na pamięć. Zdolność ta objawia się już nie w młodych chłopcach, jak talent rachunkowy, ale w ludziach dojrzałych, którzy w zwykłej grze szachowej zajmowali pierwszorzędne stanowisko. Kto rozumie nieskończoną ilość kombinacji, jakie zachodzić mogą w położeniu odnośnem figur na szachownicy, ten pojmuje jakie trudności przedstawiać musi dwanaście partji współcześnie rozgrywanych z pamięci pomiędzy silnymi przeciwnikami. A jednakże podobnej sztuki często dokonywali pp. Cukiertort i Blackburne, pierwszorzędni przedstawiciele gry tego rodzaju. Wielce byłoby pouczającem zbadanie umysłowego procesu, o ile takowy świadomym i wyjaśnionym być może.

Dzień prezydenta rzeczypospolitej.

Voltaire, dziennik paryski, podaje zajmującą notatkę o sposobie, w jaki prezydent rzeczypospolitej francuskiej uregulował swój tryb życia codziennego.

„Pan Grevy, cieszący się wybornem zdrowiem, wstaje z łóżka w porze zależnej od tego, czy później lub wcześniej się położył, i od rodzaju pracy, którą był nocą zajęty.

Niezwłocznie używa silnego prysznica, a po doskonałem wytarciu ciała pije filiżankę kawy, poczem dopiero ubiera się i zasiada do pracy.

Przedewszystkiem sekretarzowi swemu, panu Duhamel, każe odczytać sobie nadeszłe listy i dokumenta.

O godzinie 10 udziela posłuchań.

Posłuchania trwają bardzo krótko: rzadko dłużej nad 10 minut.

Naradom ministerjalnym przewodniczy Grévy w czarnym surducie; uwagi, jakie mu się nastręczają, zwykł robić odnośnym ministrom w cztery oczy.

O godzinie 12. spożywa śniadanie — nakryć bywa zawsze dwanaście, p. Grévy, ma bowiem zwyczaj osoby, które były zrana u niego na posłuchaniu, a z któremi pragnąłby pogawędzić dłużej, zapraszać na śniadanie.

Prócz nich obecnymi są zawsze: pani i panna Grévy, jenerał Pittié jako pierwszy adjutant, szef gabinetu Duhamel, sekretarz Fourneret i pełniący służbę dzienną oficer.

Po śniadaniu przeprowadza pan Grévy swoich gości do pokoju przeznaczonego na cygara albo do ogrodu, gdzie również podają najwyborniejsze gatunki cygar.

Od godziny 2. do 3. pisze prezydent listy i czyta wyciągi z gazet; od 3. do 4. gra z jednym z przyjaciół partję szachów, należy bowiem do zapalonych szachistów i może śmiało współzawodniczyć z Rosenthalem i Cukiertortem.

O godzinie 4 lub nieco później, wyjeżdża z żoną i córką do lasku bulońskiego; powóz jego unika w takim razie głównych alei; zwykle rodzina wysiada na samotnej łące, ażeby się tam pokrzepić chwilą swobody na łonie zdrowej natury.

O godzinie 6 znajduje się już w pałacu Elizejskim z powrotem, poczem podpisuje korespondencje i dekreta, co bywa częstokroć robotą nader długą a tem samem zmudną.

Obiad spożywa zwykle w poufałem gronie, z wyjątkiem wielkich przyjęć galowych.

P. Grevy lubi potrawy proste ale ma dobry apetyt.

Po obiedzie udaje się towarzystwo do ogrodu, albo gra w partję bilardu do godziny 10; o tej porze wszyscy rozchodzą się, podążając do własnych apartamentów.

Prezydent pracuje jeszcze ze dwie godziny i nigdy nie kładzie się do łóżka przed godziną 12.

Do szczególnych upodobań jego należy codzienne złożenie wizyty kaczkom w sadzawce ogrodu elizejskiego.

Jeżeli w jakiej sprawie nie może się zdecydować lub też potrzebuje rozrywki, dzwoni i każe sobie podać trochę chleba; poczem schodzi do ogrodu i karmi swe ulubione ptaki, drąc się niemiłosiernie o drobiny chleba, jakby to były — teki ministerjalne“...

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim“ zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego“ we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 34. str

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.